Numer 29. Nalеż. poczt. opł. gotówką. Dnia 17 Lipca 1932



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Odpowiedź.

Adwokat, który przegrał sprawę, odpowiadając na wymówki wieśniaka: E, co wy będziecie ze mną się mądrzyć! Ja uczyłem się na dwóch uniwersytetach...

Wieśniak: Miołem ci jo cielę, co także dwie krowy ssało, ale też nic z niego lepszego nie wyrosło, tylko prosty wół.



Złośliwość męża.

Mąż: Patrz-no, Matylko, tu coś o tobie piszą w gazecie!...

Żona: O mnie?... Ależ to niemożliwe!...

Mąż: A jednak tak jest, masz tu i czytaj, piszą przecie wyraźnie, że na świecie jest zadużo kobiet!...



Bliźniacy.

— Mój brat jest tak szalenie do mnie podobny — opowiada pewien jegomość — że poprostu nie można nas odróżnić od siebie. Jak brat mój coś przeskrobał w szkole, zwykle ja brałem lanie za niego. Miał raz awanturę na ulicy, mnie zaaresztowali. Niedawno chciałem się ożenić, ale cóż, mój brat pierwszy zjawił się w kościele i ożenił się za mnie. Ale wreszcie zrewanżowałem mu się za to wszystko. Umarłem, tydzień temu, a mojego brata pochowano za mnie.

Rekrut.

Porucznik: Na co właściwie mamy wojsko?

Rekrut Zwiebelduft: Ja też tak samo się zastanawiam, panie poruczniku...

Jak się co fabrykuje.

Potrzebną jest słoma,
By zrobić słomiankę,
Potrzebną jest glina,
By zrobić lepiankę,
Potrzebne jest drzewo,
Aby zrobić belki,
Potrzebną jest guma,
Aby zrobić szelki.
Lecz by polityka
Z krzykliwemi usty
Zrobić, niepotrzeba
Nic, prócz głowy pustej.



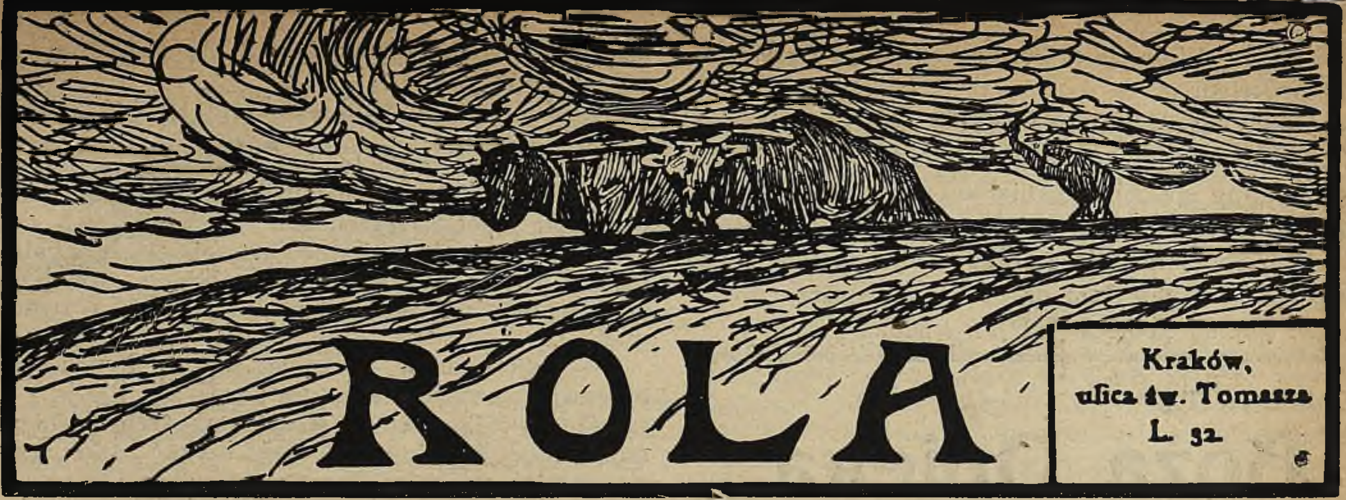
Mądry policjant.

Policjant wiejski prowadzi aresztanta do miasta. Nagle wiatr zrywa więźniowi kapelusz.

— Ach! mój kapelusz! — woła aresztant. — Pozwólcie mi pobiec za nim panie policjancie.

— Niema głupich, mój kochanku — mówi policjant — mógłbyś mi zwiać. Ty tu stój, a ja pobiegnę za kapeluszem.

Numer 29. Rok XV. Kraków, dnia 17 lipca 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Jesteś jak kwiat...

Gdy człowiek szukał najczulszej i najpiękniejszej nazwy dla tego, co kochał, zwrócił się do istot, które mu się wydawały pojęciem i symbolem czystości, niewinności i wdzięku, to jest: do kwiatów.

Od prastarych czasów zajmowały rośliny i kwiaty fantazję ludzi. Tajemnicze życie drzew i kwiatów, ich woń i barwy, wszystko to tworzyło w przeciwieństwie do ludzi i zwierząt dziwną zagadkę. Mianowicie najstarszy lud kulturalny, Indowie, miał szczególniejsze zrozumienie dla roślin, istot bez skazy i grzechu. Sanskryt nazywa rośliny: „istotami pijącemi wodę, czystemi i bez namiętności". To też nic dziwnego, że uważano je za świętość, podług której Indowie, tak jak dziś jeszcze Chińczycy i Japończycy, usiłowali ukształtować swe kobiety; poeta Damajanti wysławia je jako: „łagodne, beznamiętne, słodko poddające się, nawet w rozpaczy nie tracące uroku, czule uśmiechnięte". A wszystkie są wzorem cnoty i wierności.

Wszystkie inne ludy, zbliżone do przyrody, a następujące w historji świata jedne po drugich, przejmowały od siebie kult roślin i kwiatów.

Drzewa i krzewy, wyrastające z ziemi i znające jej tajniki, łączyły się coraz to więcej z ludźmi. Z kropli krwi wyrastają kwiaty, uciekające boginie i nimfy zamieniają się w drzewa na ich własne życzenie i w postaci rośliny doznają ulgi w cierpieniach ludzkich".

Sądzono nawet niegdyś, że wszelkie rośliny mają duszę. Wszakże ścięte drzewo jęczy w chwili, gdy je siekiery dotykają, a zwiędłe kwiaty żalą się na swój smutny los...

Drzewa i kwiaty odgrywały też bardzo ważną rolę w baśniach i legendach. Były drzewa zaczarowane i mówiące, a ileż to dobrych wróżek ukazywało się pod postacią kwiatów. Ale kwiat jest zawsze uosobieniem cierpienia, słodyczy, zawsze o niego odbywają się walki, wszyscy go pragną — bo zawsze jest obrazem kobiecości!

Persowie, uwielbiający jeden tylko kwiat, t. j. różę, łączą go zawsze z słowikiem, nazywając go „kochankiem róży". Jedna z najstarszych pieśni perskich kończy się pytaniem: „Skąd masz twe pieśni słowiku?" i odpowiedzią: „Zawdzięczam je miłości dla róży!"

Sakuntala — „cudna jak kwiat" — wysmukła jak lilji łodyga, rozmarzona jak lotos, tęskni za ukochanym. Nagle spostrzega w ogrodzie drzewo omra, otoczone ramionami narzeczonej, kwiecistej madhari i gorące łzy radości spływają jej z oczu. A z łez tych wykwitły żółte kwiaty, słoneczniki!

I stąd jest żółty kolor kolorem zazdrości.

Z czasem nadawano kobietom nazwy kwiatów, uważając, że imiona takie są najwłaściwsze.

Żydzi znali w dawnych czasach dwa tylko imiona kwiatów. Japończycy tworzyli dużo imion z nazwy kwiatów, my bardzo mało ich mamy: Róża, Eryka (wrzos), Viola, Palmira, Georginia i kilka innych, ale żadne z nich polskiem nie jest. Wszystkie od innych pochodzą narodów.

Inne ludy słowiańskie, n. p. Serbowie, mają ich o wiele więcej.

Polacy zbyt wojowniczym byli narodem — nie mieli czasu na szukanie nazwy kwiatów dla kobiet, chociaż zawsze je szanowali i cenili, dla nich więcej znaczyła sława wojenna, dlatego mamy mnóstwo imion męskich i żeńskich, kończących się na „sław" i „sława".

W czasach trubadurów powstało we Francji dużo imion, bardzo pięknych i poetycznych. I tak była tam

Róża, Flora, Viola, Rosalba, Salvet, Lilia, Eglantyna i Blanchefleur.

Ale co znaczy imię! Chociażby nikt nie wiedział, że królowa kwiatów różą się zowie, to jednak każdy zachwycałby się jej wspaniałemi barwami i słodką wonią. Tak samo jest i z piękną kobietą — niech się zwie Hermenegilda lub Pafnucja, zawsze ludzie patrzeć będą z zachwytem na uroczą jej twarz.

Bo piękna kobieta jest jak kwiat...

BOLESŁAWITA.

Boża Opieka.

Powieść z XVIII wieku.

(Ciąg dalszy).

Na twarzy starej kobiety widać było jakby chwilkę wahania się i niepewności, zdawało się, że nie wie, co odpowiedzieć, lepiej, że rachuje, czy dla chłopca szczęśliwiej będzie dostać się na ręce tego opiekuna, czy zostać tam, gdzie był. Wpatrywała się w twarz przybysza i walczyła z przywiązaniem do dziecka.

— Wygląda niezbyt dodatnio — mówiła w duchu — niewielkie szczęście mu dać może, a sam mówił, że to dziecko cudze i że je wziął tylko z litości. Zaprzęże do pracy, odciągnie gdzie daleko... poprowadzi za świat...

Pomyślawszy tak chwilę, odparła smutnie.

— A! gdybym ja też wiedziała doprawdy, co się z nim stało! gdyby! ale skąd, jak ja o tem wiedzieć mogę? Dziecko ze strachu porwawszy się uciekło... kto wie, gdzie go teraz szukać?

— Jakże się wam zdaje? — niedowierzająco zapytał gość.

— Albo ja wiem! Pana Boga tylko proszę, żeby go od nieszczęścia ochronił; nie wiem nic, doprawdy... Toćbym się z tem przed swoim i przed wami nie kryła, bo wiem, że mu źle nie życzycie...

Gość się zadumał... Zwolna zaczął sprzączki pod opończą rozpinać, wysunął trzos na stół i położywszy go przed sobą, niby się rozmyślał, czy go otworzyć. Baba i Hruzda spojrzeli po sobie. Obojgu jakoś przypomniało się, że gdyby za lat ośm zaległość obliczyć i zboże dorachować, pięknegoby grosza dostali, o jaki w chacie włościańskiej trudno; a jakże się o to upominać, kiedy chłopca nie było.

— Gdybym wiedział, gdzie Janka szukać — przebąknął przybyły — tobym gotów wam dług zapłacić, choć mi to ciężko... Miałem i ja biedy dosyć, a co innego po kilka talarów w rok zbyć, niżeli razem taką sumę oddać... Alebym się zmógł... co robić, co się rzekło, dotrzymać trzeba, tylko mi chłopca dajcie...

Hruzda spojrzał na żonę; ruszyła ramionami baba i fartuchem mokrym niesuchą twarz jakby zakłopotana otarła.

— Skąd że go wziąć! — odpowiedziała pocichu...

— Ej! babo jakaś uparta! — krzyknął mąż — co ty tak udajesz, a myślisz, że świat zwiedziesz! Ja cię na wylot znam, ty wiesz pewnie, gdzie jest...

— Ale nie wiem! — ofuknęła Hruzdzina.

— Zaklinajże się na Boga — dorzucił mąż.

Kobieta poczerwieniła się z gniewu i porwała na męża.

— Co to ty mnie będziesz do przysięgi pozywał? — odparła głosem wrzaskliwym — alboś to ty sędzia, albo ksiądz? albom to ja wiary niegodna, kiedy mówię, że nie wiem...

Nieznajomy brzęknął trzosem zwolna zsuwając go na kolana.

— Niedoczekanie twoje, kusicielu ty jakiś — w duchu szepnęła sobie Hruzdzina — żebym ja ci za pieniądze dziecko sprzedała...

Odwróciła się gniewna, strzepnęła obmokłą odzież i poszła zagniewana do alkierza; dwaj mężczyźni pozostali sami, patrząc na siebie z zwątpieniem.

— Dajcie pokój — szepnął Hruzda w ucho przybyszowi — ona już teraz nie powie nic, ale ja z niej dobędę powoli... jeźli co jest... przyjedźcie później do mnie. Teraz już nie macie czego czekać... Ino przyjdźcie później...

Zawahał się trochę szlachcic, dobył trzosa i nie mówiąc słowa rozpiął go, wysypał talarów kupę, wybrał białych pięćdziesiąt, co było nie małą sumą na te czasy, ułożył je dziesiątkami i podsunął Hruzdzie.

— Naści — rzekł — nie chcę krzywdy waszej, lepiej niech się mnie dzieje krzywda. Płacę... bywaj zdrów.

To mówiąc trzosem się opasał pod opończą, kiwnął głową i szedł do drzwi. Hruzda ledwie oczom wierząc odprowadzał go do sieni zdjąwszy czapkę. W sieni szlachcic mu szepnął tylko:

— We czwartek będę w gospodzie, dowiedz się od żony, gdzie ona go podziała...

Na tem się skończyło, siadł na wózek i ruszył... Hruzda wrócił, i oboje ze starą stanęli nad stołem patrząc na te talary, które jeszcze dotykając ich za swoje nie mieli. Połykał je oczyma Hruzda... ale gdy już ręką sięgał, aby zbierać, wstrzymała go kobieta.

— Ani mi je rusz! — zawołała — ani ty mi ich tykaj! Za chleb odpracował chłopiec, nam się nie należy nic, Pan Bóg by cię skarał, gdybyś szeląg z nich wziął. Nie pozwolę. Piorun chatę spali, grad zboże wybije... Cudzego nie bierz!!

— Co ty oszalałaś? — ofuknął Hruzda.

— Rachuj się z sumieniem — zawołała kobieta... zapytaj księdza... Ja wiem, że pieniędzy tych nie chcę, niech będą dla chłopca... my do nich prawa nie mamy...

Hruzda, którego widok tego skarbu roznamiętnił, począł się kłócić, wkrótce jednak wątpliwość jakaś zrodziła się w jego umyśle... zwolniał, zadumał się... i choć kwaśny dozwolił babie w szmatkę zawiązane talary schować, podpatrzywszy tylko, gdzie je skryła... Nie chciał się już z nią kłócić, ażeby nie utrudnić dobycia z niej wiadomości o głupim Janku.

7. U kanonika.

Ksiądz kanonik Hodowski siedział w pokoju, a przed nim w progu stało chłopię ciekawemi oczyma latając po kątach, zdumione, przestraszone nieco... a nadewszystko pociągnięte widokiem tylu rzeczy, o których dotąd wyobrażenia nie miało.

— Jakże cię nazywano, moje dziecko? — odchrząknąwszy i przybierając postawę poważną odezwał się profesor — jak cię nazywano?

— Mnie, na wsi, proszę księdza dobrodzieja, nazywali głupim Jankiem.

— Jakto głupim? — rozśmiał się z naiwności profesor... dlaczegoż głupim?

— Musi być dlatego, że oni głupsi jeszcze byli odemnie — ozwał się Janek.

— A to, jak Chrystusa Pana kocham, odpowiedź doskonała! doskonała! — rozśmiał się kanonik... i podszedłszy pogłaskał go pod brodę...

— Któż twój ojciec, kto matka? mów śmiało...

— Ojca i matki nie znałem — westchnął chłopak — moja przybrana poczciwa, co mnie wychowała, mówiła mi, że jakiś szlachcic oddał im dzieckiem na wychowanie...

— A ty tego nie pamiętasz?

— Bardzo mało... jakby przez sen! — rzekł chłopak topiąc oczy w ziemię.

— Coż ci się przypomina?

— Ja nie wiem, może to tylko... ot tak... dziecinne jakieś bajki chodzą po głowie.

— A przecież? jakie?

— Nie pamiętam nic... nic... tylko bardzo piękną czerwoną ze złotem sukienkę, w którą mnie stroili... i żem płakał, gdy mnie w grube sukno przebrano... Sługa jakiś pochwycił mnie, usta mi zatulił i powiózł... Potem tylko wiem, że mi w tej chacie u starej mojej dobrej matki dobrze było...

Kanonik ręce założywszy w tył, chodził długo zamyślony po pokoju... spojrzał na chłopca i westchnął.

— To ci się w istocie ta czerwona sukienka chyba przyśnić musiała — rzekł po namyśle — wybić to sobie potrzeba z głowy... ale moje dziecko... teraz, gdyś już tu raz jest, gdzie się ludzie uczą, przez naukę możesz dojść do tego, co ci się marzyło we snach... ba! nawet do purpury! Bywały tego przykłady... przynajmniej w stanie duchownym niejednego purpurata liczymy, który gęsi pasał za młodu... A do nauki ochotę masz? — spytał.

— A księże dobrodzieju! — zawołał chłopiec, któremu się oczy zaiskrzyły... okrutną.

Ksiądz się rozśmiał.

— Umieszże co? Klecha cię uczył przecie?

— Troszeczkę — westchnął chłopiec —ale proszę dobrodzieja, kiedyż się tam było uczyć! Trzeba było od rana do nocy późnej się wysługiwać... wołom zadać paszę, często i ziela dla krowy się postarać, pług narządzić, kosę naostrzyć, z sierpem iść, z broną, a choćby z rękami na pole... bo stary Hruzda próżnować nie dawał. Więc chyba matka czasem pomogła, żem chwilę odkradłszy, zbiegł do szkoły, do klechy, albo przy ogarku za książkę mógł wziąć...

— Czytaszże? — spytał kanonik...

— Jako tako...

— A piszesz?

— Nic do rzeczy, proszę ojca — rzekł Janek — bo czasem i sam tego, co napiszę, przeczytać nie mogę.

Profesor się śmiał, aż się za boki trzymał.

— No, nic, nic, byle pilność, to się to naprawi — odezwał się — jakoś to będzie. Ja cię sam uczyć muszę, bo jak na płatnego albo z łaski bakałarza byś poszedł, ten cię nic nie nauczy... Na górze masz izdebkę niczego... Maciejowa, jak nie będziesz knąbrny, nie poskąpi dla ciała obroku... odzienia się postaramy przystojnego... Czasu będziesz miał dosyć. Tylko mi nie leż, nie nygusować... nie zbijać bąków, nie łotrować po ulicach... Fałdów przysiedzieć... a potem do szkoły... i jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz... Ot co...

To mówiąc profesor, któremu chłopiec z żywemi oczyma wyraźnie się podobał, wziął go za głowę i pocałował...

— Do kościoła codzień idź, pana Boga proś... starszych słuchaj... pokorny bądź... boś to tam pono zbroił coś już, co dowodzi, że tej cnoty ci braknie... Hę? od rózeg uciekłeś? prawda?

— Prawda, proszę jegomości, ale kiedy mi się te rózgi nie należały, ano prędzej paniczowi...

— Ależ to panicz był! — śmiejąc się rzekł łagodnie kanonik... — co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi... Idź no... idź... Elementarz weź... jutro... rano, gdy wstanę, egzamin... a dalej... zobaczymy...

Chłopiec, w rękę pocałowawszy kanonika, wysunął się... i już miał na górę iść, gdy go Maciejowa po drodze złapała i do kuchenki wciągnęła.

Stara miała minę kwaśną i srogą, wzięła chłopca pod okno, aby mu się przypatrzeć naprzód... pokiwała głową, utarła nos i poczęła mruczeć...

— Wiesz, co masz robić? — spytała...

— Uczyć się — odparł Janek...

— A tak! a tak! uczyć się! a to myślisz, że cię tu darmo uczyć będą, i że chleb księdza kanonika będziesz jadł nie pracując? hę? Zrana wstawszy kuchnię mi zamieciesz i drewek przyniesiesz i wody. Ja stara... nie poderwiesz się przecie... Po obiedzie trzeba na wieczór wody znów przynieść, a czasami drewek. Jak się trafi na miasto posyłka... nogi za pas... Rozumiesz!

Janek się trochę poskrobał po głowie.

— Ksiądz kanonik mi nic o tem nie mówił.

— A ja ci powiadam... ja — dodała Maciejowa — kanonikowi do tego nic, to moja rzecz... Było już tu przed tobą dosyć takich pauprów, wszyscy się wysługiwać musieli...

— Jam ci do roboty przywykł — rzekł Janek, przypominając sobie zaleconą pokorę — mnie to nie będzie ciężko...

Obejrzał się po kuchence, jakoś w niej było niezamieciono i w wiaderku wody omal; spytał więc o miotłę i żywo wziął się do roboty. Maciejowa stała, patrzała, a wkońcu dobyła chleba z szafy i posmarowawszy masłem, dała chłopcu, który ją w rękę pocałował. Nie powiedziała wprawdzie nic, ale pomyślała staruszka: Takiego poczciwego chłopca jeszcze u nas nie było, żeby go tylko żaki nie popsuły! Bo to miejskie tałałajstwo, choć dziś na szubienicę!

8. Odwiedziny w mieście.

Był to jakoś targowy dzień i pani Maciejowa właśnie się wybierała z koszykiem na miasto, gdy u drzwi w progu wiejska kobieta z węzełkiem na plecach, porządnie odziana, przywitała ją zwykłem naszem:

— Niech będzie pochwalony!

Po odpowiedzi trochę zadychana schodami, wieśniaczka podniosła głowę i popatrzywszy dokoła, zapytała nieśmiało:

— Przepraszam jejmość, niech się pani nie gniewa, czy tu mieszka ks. Hodowski?

— Ks. kanonik profesor Hodowski — poprawiła Maciejowa — no tak! toć przecie kamienica nasza, a co ci do niego?

— A, przepraszam jejmość — dodała stara — mnie to do niego nic, ale... tu... ja... bo to... Tu jest chłopiec Janek....

— Jaki chłopiec? gdzie? co za Janek? po co wam do niego? — poczęła Maciejowa.

— Jakto? nie ma go tu? — rzekła przestraszona wieśniaczka.

— A cóż ci do niego?

— Toć to ja go wyniańczyłam i wychowałam od maleństwa — cicho poczęła przybyła.

Maciejowa, której z Jankiem było dobrze, ulękła się, żeby jej go nie odebrano...

— Czekajcież — odezwała się— co my tu będziemy przede drzwiami gadały, chodźcie ze mną do kuchni...

Po cichutku obie kobiety przeszły przedpokój.

— Głośno nie gadajcie — ostrzegła Maciejowa. — Chłopiec tu jest. Kanonik go sam uczy... ale jeźli go

odbierać myślicie, to mu świat zawiążecie... On go na ludzi wyprowadzić może, jak już niejednego z łachmanów wyciągnął na Boży świat... Panu Bogu dziękujcie tylko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Guślarskie leki.

(Zdarzenie prawdziwe).

Józia, urodziwa pietnastolatka i jedyna córka Kłoskowej, wdowy po bogatym wieśniaku, wróciła z kościoła w niedzielę bardzo smutna i jakaś niezdrowa. Oczy jej niebieskie błyszczały, jak szklane; policzki, przedtem bladoróżowe, kwitły czerwonawym rumieńcem, a oddech stał się gorący, ciężki, że dyszała, jakby utrudzona. Rozbierając się z świątecznego stroju i kładąc go na ławce obok stołu, powiedziała Józia matce, iż musi się położyć na łóżku, gdyż głowa ją bardzo boli.

Kłoskowa zbliżyła się do córki, dotknęła swą dłonią jej czoła i zafrasowała się wielce. Głowa Józi była nader gorąca, a tętna w jej skroniach szybko biły, co świadczyło o jej boleści. Matka spojrzała smętnie w oczy córki, a gdy ta, rozebrana już do koszuli, zbliżała się ku łóżku — zatrzymała ją i rzekła:

— Słuchej-no, Józiu, córeczko, może ci kto łuroków doł?

— Nie wiem, mamo — odpowiedziała zapytana, ciężko dysząc — ale jagem szła z kościoła, to baby jakieś co mnie widziały, tak sie dziwowały i mówiuły;

— A to, — „na psa uroki" — piekno ta Józka łod Kłoskowy; jak hrabionka jako z miasta! O smyśno, jaż kwitnie!

— A widzisz, rybko! Nie godałam!... To łone ci dały łuroków; musze ci je skropić, to bedziesz zdrowo. — Takie to złe ocy majo niktóre ludzie, że jak jino poźro na ciebie, to jużeś choro, ajno! — powiedziała Kłoskowa córce, która, słysząc to, rzekła cicho:

— Taak? Nie wiedziałam ło tem... Ale może to nieprowda?

— Prowda świento! — przekonywała ją matka.

Potem szybko rozniecila ogień na kominku, wlała do garnuszka ciepłej wody, wrzuciła w nią kilka okruszyn chleba, utopiła jeszcze w niej trzy ogarki ognia i zaczerpnąwszy tak zaprawionej do swych ust, z rozpryskiem wypluła ją na twarz Józi, która otrząsnęła się z niej, jakby przestraszona, otarła oczy rękawem koszuli, położyła się na łóżku, a matka otulając ją starannie pierzyną, mówiła uspokojona nieco:

— Miałaś, córuś, uroki, juści: wszystkie łogarki poszły na dno gornuszka, alem ci je odcyniuła, to jakoś wyzdrowiejesz.

Józia wnet usnęła, gadała coś niewyraźnie we śnie, dyszała gorączką.

Dobrego skutku odczynienia uroków znać wcale nie było. Po chwili Józia obudziła się.

— No, jak-ta, córuś, lepi ci? — usłyszała cichy głos czuwającej obok swego łóżka matki.

— Nie, mamo, jeszcze gorzy... — cicho odpowiedziała Józia, a to jeszcze więcej zasmuciło biedne serce Kłoskowej.

Wybiegła więc na podwórze, wyrwała po kilka źdźbeł słomy z trzech narożników strzechy swej chaty, wróciła z niemi do izby, kazała chorej Józi stanąć na środku izby, zapaliła owe źdźbła i z płonącemi krocząc około chorej, „opalała" (ogrzewała) ją, mówiąc przytem:

— Teroz zimno wiesna, może cie jakie złe powietrze łobleciało, to ci łopolenie pomoże...

Potem dopalające się źdźbło rzuciła na ziemię. Józia zaś, podnosząc naprzemian nad tym ogniem obie nogi, próbowała je rozgrzać. Kłoskowa tymczasem wzięła w palce odrobinę popiołu z onych źdźbeł, zmięszała go z łyżką wody, potem tym płynem poleciła chorej córce wypłukać sobie usta.

Józia w milczeniu uczyniła i to, gdyż wierzyła, że co tylko matka jej każe uczynić, to jedynie dla jej zdrowia... Po tej „kuracji" poszła spać, a matka znowu czuwała przy niej. Józia wnet zasnęła, ale nadal majaczyła w gorączce. Drugiego dnia rano, wstając z łoża niemocy, jeszcze bardziej skarżyła się matusi na ból głowy. Na to Kłoskowa znalazła „skuteczny" środek.

Dziewięć gałeczek z włókien lnianych spaliła na czerwonej szmacie, leżącej na twarzy chorej Józi. — Iskierki z tych gałeczek uniosły się do góry, a to zwiastowało powrót zdrowia.

— Miałaś różo w głowie i spolułam ci jo. Teroz może ci sie polepszy — pocieszała Kłoskowa córkę.

Lecz ulga w chorobie Józi wcale nie przychodziła, ca strasznie trapiło biedną matkę. Gdy jej ktoś mówił, aby u doktora szukała pomocy dla chorej jedynaczki — odpowiadała mu zrozpaczona:

— Jo ji już łuroki skropiuła, różo spoluła, łopolułam jo, a nie pomogło ji, to i dochtór nie pomoże! Po drugie dochtór tyle wi, co zji, i tylkoby piniądze za byleco broł!

Bowiem w „cudowny" skutek swojej guślarskiej kuracji Kłoskowa wierzyła więcej, aniżeli w lekarstwa apteczne. I jak mogła, tak pielęgnowała córkę, kurowała ją swymi zabobonnymi lekami. Ale to na nic się nie zdało.

Wreszcie po długiej chorobie, Józia wyschnięta, jak patyk, umarła, zaopatrzona Wijatykiem na drogę do wiecznej krainy...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Wróciwszy z pogrzebu córki do swojej w żałobie pogrążonej chaty samotnej, Kłoskowa, szlochając serdecznie, powtarzała co moment, jakby obłąkana:

— Możeby-ta i pomógł ji jaki dochtór, ale — już nie rychło!...

Jan Matuszkiewicz.

Chłopski syn...

Jestem chłopskim synem
rolnika małego —
Niczem się nie chwalę,
cóż mi przyjdzie z tego?!

Mój domek jest na wsi,
od miasta daleko:
Bo dwie mile drogi
i za jedną rzeką!

Mój domek jest mały,
czysto wybielony,
Gdzie się tu popatrzeć,
czystość w wszystkie strony!

Jam chłopskiego rodu,
nie wstydzę się tego —
Taka wola Boża,
nie ma nic w tem złego!...

Stanisław Jucha.

Żniwa.



Kiedy jesienią rzuca rolnik w ziemię drobne ziarno, nie wie, jaki plon będzie zbierał w przyszłym roku. Zależy to bowiem od wielu okoliczności. A więc może przyjść ostra, bezśnieżna zima, w czasie której mróz powyciąga korzonki i uszczupli spodziewane w przyszłości plony. Albo znów kiedyindziej spadną olbrzymie śniegi, gruba warstwa pokryje zbożne niwy, a leżąc długo, sprawią, iż wiosną okażą się całe place ziemi, ogołocone zupełnie z zasianego zboża.

A gdy nawet żadna z tych przeciwności nie spotka rolnika i z wiosną żytko jego i pszeniczka bujną zielonością pokryją łany polne, to i wówczas rolnik drży, czy aby nie przyjdzie burza gradowa i przed czasem nie pościna jego zielonych kłosów. I przez kilka miesięcy czeka w ciągłej obawie, co będzie z jego plonami.

To też gdy nadejdą szczęśliwie żniwa, a łany jego zasrebrzą się żytem i zazłocą pszenicą, radość jego jest ogromna. Dziękuje Bogu z głębi serca, że go uchronił od klęski i dał mu doczekać obfitych zbiorów. Radości jego nie umniejsza trud i znój, jaki czeka go w czasie żniw.

Ledwo skowronki śpiewać zaczną, ledwo zza górki ukaże się to Boże słoneczko, spieszą żniwiarze w pole, aby żąć te srebrzyste kłosy żyta, pełne dorodnego ziarna. A choć upał panuje niezwykły, że cała przyroda zda się płonąć jednym wielkim żarem i choć wszystko gdzieś się pochowało do cienia, choć nawet ptaszki na chwilę śpiewać przestały, to przecież żniwiarze nie ustępują, lecz pobrzękując, ten sierpem, tamten kosą, pracują z takim zapałem, jak gdyby ich kto na lotnym koniu gonił.

A choć człeka w krzyżach boli, że sprostować się nie może, to w pracy jednak nie ustaje, lecz stęka, a żnie dalej, Pana Boga tylko o stałą pogodę prosząc.

A przodownik żniwiarzy ostatka ze siebie sił dobywa, żeby tylko innych odeżnąć, a gdy mu się to udaje, dopieroż dla niego uciecha! Trzeba widzieć, z jaką dumą staje, chwyta się pod boki, nie szczędząc przytem innym rozmaitych docinków.

Kiedy już żniwiarzom pot oczy zalewa, ze zmęczenia prawie ustają, pocieszają się piosenką: „Żnijmy dalej, żnijmy, nie ustajmy w pracy, bo nigdy bez pracy nie było kołaczy. Chleba nam trzeba, chleba, a któż nam go poda? Żnijmy, bo dla chleba pocić się nie szkoda!“

I żną dalej, a wiążą w snopy zboże i składają na mendle lub półkopki.

Kiedy się żniwa kończą, a następują dożynki, wtedy dopiero uciecha! Dziewczęta już od rana szykują wieniec. Snopek owsa lub pszenicy przybierają w kwiaty polne, a kiedy już żniwo skończone, bierze przodownik wieniec na głowę, a za nim inni, poprzybierani w kwiaty i spieszą do domu gospodarza, gdzie już oczekuje na nich jadło i napitek.

Naprzeciw powracających z pola wychodzi gospodarz ze skrzypkiem: żniwiarze, zobaczywszy gospodarza, przystają, niosący zaś wieniec obraca się z nim wkoło i śpiewa: „Panie gospodarzu, za trudy, za pracę, będziesz miał z pszeniczki dla żeńców kołacze. Błogosławił zbiorom sam Pan Jezus z nieba, bo będziecie mieli na cały rok chleba!“

Skrzypek podchwytuje melodję i zaczyna grać, a po przegraniu jednej zwrotki następuje dalszy ciąg piosenki. Po prześpiewaniu podchodzi gospodarz do przodownika i częstuje go, a za nim innych. Później rozpoczyają się wesołe tany, które trwają zwykle do

dnia białego. Żeńcy, choć spracowani, bawią się ochoczo, nie czując zmęczenia.

Piękne te zwyczaje znikają, niestety, już z ziem naszych. Powszechna bieda wśród rolników sprawia to, że niemal każdy gospodarz męczy swoje żniwa z żoną i dziećmi, gdyż na zapłacenie robotnika nie ma pieniędzy.



Kwała Panu Jezusowi Najwyżsemu, ze się juz ludziska tych kochanych zniwów docekali! Niejednemu juz gonienie się po zimniackach do cna obmierzło i rad byłby cem ućciwem zołondek podfutrować, a tu na chlebuś juz od Zieleniuśkich Świątków w kumorze ziarna nie stało. Bida była w niejednej chałpie, jaz piscała i niejeden radby był śniej uciekać, ale nie było gdzie.

Dawniej, jak komu bida we wsi doskwirzała, to pozycał u sąsiada trochę dolarów i jazda do Hameryki, a dziś Hamerykę zamknęli na śtyry spusty tak, ze się tam nikt dostać ni moze. A choćby się i dostał, to coby mu przysło z tego, kiedy w Hameryce jesce straśniejsa bida, aniżeli u nas. I nie ino w Hameryce, ale i we wszyćkich krajach, gdzie grontów mało, a fabryk duzo. Dawniej fabrykowali w tych krajach różne rzecy, rozsyłali je po świecie, a chłop, sprzedawsy ociupinę ziarna, abo jakiego prosiaka, kupował toto i dawał inksem zarobek. A dziś za ćwierć ziarna ani ci tyle nie dadzą, zebyś sobie za to kosulę kupił, a jak sprzedas paciuka, to te piniądze ledwieby ci na porządny obiad wystarcyły i gadaj tu o kupnie jakiem.

Ale choć u nas bida, to jest przecie jesce lepiej, jak gdzieindziej na świecie. Bo choć z grontu nawet tyle sprzedać nie mozna, aby podatki zapłacić, to przecie, jak Poniezus urodzajem obdarzy, jest choć tyle, aby było co jeść z dzieckami, A na przykład taki fabrykant, co robi gwoździe, gwoździami się nie pozywi, ani cemenciarz cementem. Wprawdzie jemu bida nic nie zrobi, bo se naskładał moc piniędzy na carną godzinę, ale nie mając odbytu na gwoździe, albo na cement, zamyka fabrykę, a ten, co u niego i na niego dotąd pracował, niech se radzi, jak chce, on się z nim swemi miljonami nie podzieli. I latego gdzieindziej jesce większa bida, anizeli u nas.

Powinni tez ludzie Panu Jezusowi za wszyćko dziękować, ale myślicie, ze dziękują? Kajśta zaś! — Wprawdzie ta i owa babsztulinka kłapnie pyskiem: „Panie Jezusicku, dziękuję Ci za te pikne urodzaje, jakiemiś nas obdarzył“ — i na tem koniec, bo to prawda, to tam ludzie na dziękowania Panu Bogu gęby nie załują. Ale co Panu Jezusowi z tego przyjdzie, choćbyś se na takiem dziękowaniu cały pysk podarł, kiedy przeważnie takie dziękowanie jest bezmyślne, a nie scyre.

Aby Poniezusa z podziękowania uciesyć, to trzeba mu inacej, a scyrzej dziękować: trzeba Mu dziękować robotą i zyciem całem.

Co z tego, ze będzies gadał: „Panie Jezu, dziękuję Ci tez“, a kiedy wyjdzies do roboty, to jakby za pańskie. Bo u nas tak jest dopotąd: jesce ten i ów sam sobie, to się tam zwija jako tako, ale parobek lub dziwka la gospodarza to robi ino pod batem. — A juz la obcego, to niech Bóg broni!

Na pole wyjdzie, kiedy juz skowronki dziesiąte śniadanie zjadły, a i potem co raz sirpem chyci, to się ośm razy poskrobie, a po kuzdem poskrobaniu pogada z inksemi i znowu sirpem chyci. I tak ani się obejrzys, a juz śniadanie na karku.

A od śniadania do obiadu, od obiadu do juzyny, od juzyny do wiecerzy znowu tak samo, a nie inacy. Dzień, jak strzała zleci, a on, cy ona, ino się naprzeciągało, roboty zaś nie było. A kiedy wiecór przyjdzie, złoteby się brało, choć nima za co.

I kiedy u nas bida, to nie Pan Jezus ją zsyła, ale my ją sami na siebie i na inksych sprowadzamy, bo się nam tak robić nie chce, jak Pan Jezus przykazał.

Abo co Panu Jezusowi przyjdzie z tego, choćbyś ty bez cały dzień gadał: „Panie Jezu, dziękuję Ci tez...“ kiedy wiecór pójdzies do karcmy i uchlas się, jak to nieboskie stworzenie. Jeśli mas tak robić, to nie psuj se po próżnicy gęby, bo Pan Jezus twojego podziękowania ani słuchał nie będzie.

I bez to u nas taka bida, bo się nam pracować nie chce, a jeśli pracujemy, to gorzej jak za pańskie.

Niech ci, co byli w Hameryce, powiedzą, jak się tam pracuje. Tam ci nie zapłacą za tyle a tyle godzin, ale ino za to, ileś zrobił. Nie pokrzywdzą cię ani na grosa, ale jeśli się im twoja praca nie podoba, to po jednym dniu próby fora ze dwora!

To tez i my w te zniwa, aby podziękować Panu Jezusowi, weźmy się do pracy i pracujmy tak, jak On przykazał, bez względu, cy pracujemy na swojem, cy na cudzem!

Żeńcy.



Na lazurową szatę niebios rzuca złote szychy
Słoneczko ciepłe, jasne, promienne.
Rozchyla haber kwiatu kielichy —
Falują lekko łany zboża pszenne.

Skowronek dzwoni piosnkę rzewną, tkliwą —
Wilga zawodzi skargę żałośliwą —
Brzoza na wzgórku chyli swe warkocze,
Bocian po łące brodząc — klekoce. —

Na szmaragdowej wstędze miedzy żeńcy siedzą —
Przy rannym posiłku i gwarzą
Jedni zgłodniali bardzo jeszcze jedzą —
I barszcz z okrasą i kluski z warzą.

Inni znów młodsi — weselsi, nie pomni —
Ni jeść do syta, ni napić się mleka —
Niektórzy nawet bezrolni, bezdomni,
Lecz to, co młode, do zabaw ucieka.

Powstali wreszcie, krótko spoczywali,
Każdy sierp ostry w rękę chwyta —
I patrzą przed się, a hen w oddali —
Złocą się łany pszenic i żyta.

Wszystko pod ręką żniwiarzy dziś legnie,
Spora ich liczba, lecz zboża też wiele,
I postać żeńca zmęczona się ugnie —
Zanim odpocznie po skończonym dziele.

I choć strudzeni, raźno obejmują
W ręce łodygi zboża stwardniałe —
Chcąc trud uwieńczyć, piosnki przyśpiewują,
Stanąwszy przedtem w szeregi małe.

A hen z ugoru ton ligawki płynie
Zlewając głos swój z brzękiem sierpów szklistych,
To pasterz jakiś marząc o dziewczynie,
Śle tę pieśń tęskną z rozłogów kwiecistych.

H. Latawcówna.

Podróż po dalekich krajach.

Synaj II.

Gdziekolwiek w Polsce napotkamy klasztor, to stoi on na pewnej wyniosłości, jeżeli już nie na wzgó-



Pod murami klasztoru na Synaju.

rzu większem, jak w Bielanach, Tyńcu itp., a w ostatecznym razie przynajmniej na równinie, widoczny zdala. W ten sposób budowano klasztory z dwóch powodów: po pierwsze, aby zakonnicy, skazani na wieczną samotność, mieli przynajmniej jak najwięcej słońca i światła, a powtóre, aby mogli widzieć w szerokim promieniu okolicę i wrazie potrzeby przygotować się do obrony przed nadciągającym nieprzyjacielem.

Przeciwnie na półwyspie Synaj; klasztor tamtejszy ukryty jest w ciasnym parowie wśród dwóch spadzistych wierzchołków. Mieszkańcom bowiem tego zacisza mniej chodzi o rozległy widok z okien, niż o bezpieczną kryjówkę a także i o cień tak pożądany a tak rzadki w bezdrzewnej krainie. Wczesną jesienią pada on ze wschodu do jedenastej godziny, zaś po południu już od drugiej służy przeciwległa góra za puklerz, chroniący od pocisków słonecznych.

Klasztor założyła św. Katarzyna Aleksandryjska, jak niesie podanie, przed 1.500 laty. Jest on niekształtnej budowy, z surowych głazów; małe zakratowane okienka na wysokości drugiego i trzeciego piętra, wyglądają na strzelnicę. Przed potężną bramą, zamykaną na ciężkie żelazne wrzeciądze, jest murowana studnia, u której zatrzymać się musi każdy, kto do wnętrza dostać się pragnie, jakiekolwiekby zajmował w świecie stanowisko. Ta brama niegościnna i nigdy na oścież nie otwarta, jest już zabytkiem dawnych czasów. Niegdyś, kiedy zakonnicy wystawieni byli na nieustanne napady beduińskich rabusiów, wejścia ani dostępu innego nie było, jak przez budkę bez dna i podłogi, a pod szpiczastym daszkiem, przylepioną do gładkiej ściany na kilka sążni od ziemi, niby gniazdo jaskółcze, pod którą wciągano po sznurach gości i pątników, oczywiście tylko w liczbie pojedyńczej. Dwóch ludzi u kołowrota ciągnęło przybysza, jak się ciągnie wiadra z wodą u naszych wiejskich studni. Dziś jeszcze, chociaż klasztor przestał być fortecą, jest on jeszcze obronny w całem tego słowa znaczeniu i mieści dotąd zbrojownię, skąd ostre strzały powitałyby nieproszonych przybyszów.

Mnisi nie bali się i nie boją oblężenia, bo warowne mury mogą wytrzymać niejedno oblężenie, a pięć źródeł wraz z nagromadzonymi stale zapasami żywności są rękojmią, że nie można głodem ni pragnieniem zmódz klasztornej załogi. Wody jest taka obfitość, że starczy jej na podlewanie cyprysów cmentarnych oraz warzywnego ogrodu, schodzącego po stopniach przestronnych tarasów aż do rzeczki, a raczej do miejsca, gdzieby płynąć mogła, gdyby nie było szkoda każdej zmarnowanej kropli na bezcelowe spłynięcie. Ogrodnicy w habitach popisują się z dumą grzędami kapusty i innych jarzyn... objedzonych do szczętu przez szarańczę.

Klasztor zamieszkują mnisi prawosławni; jest ich trzydziestu kilku. Ale zdaje się, że tylko z nazwy, a nie z wiary. Jeżeli ich ktoś zapyta o mnichów prawosławnych z góry Atos, lub z Egiptu, zapewniają stanowczo, że nic z niemi wspólnego nie mają. Przed wojną utrzymywali podobno stosunki z mnichami w Kijowie, a i to tylko dlatego, iż posiadali w południowej Rosji olbrzymie dobra. Czy dziś mają z tych dóbr jakie korzyści, wątpić należy, gdyż zapewne bolszewicy sobie je przywłaszczyli.

Mnichów tych w wspólności klasztornej nie trzyma wiara, gdyż nie objawia się ona w żadnym wypadku, ale mimo to jakiś duch zbiorowy w nich mu-



Przed bramą klasztoru.

si być niepośledni, gdyż inaczej nie ostaliby się w swych murach. Prawdopodobnie utrzymuje ich w wspólnem pożyciu życie beztroskie i skarby, jakie posiadają w swych murach od wieków. Zresztą któż zbada tajniki tych brodaczy w kołpakach i rewerendach, zwłaszcza, że są oni skryci, podejrzliwi i mimo pozornej gadatliwości w sobie zamknięci. Zapytywani o ich życie, opowiadają o wszystkiem na świecie, ale nigdy nie o sobie. A potrafią w ten sposób rozmawiać godzinami, nie zdradzając zupełnie, co w głębi duszy myślą.

Jedyną nowością od wieków to zapewne zamienienie jednego skrzydła klasztoru w istny hotel. Na-



Klatka do wciągania przybyszów.

robili w niem dużą ilość skromnych celek, które chętnie wynajmują podróżnym, każąc sobie płacić więcej, aniżeli w najwspanialszym hotelu gdziekolwiek na świecie. Ciągną z tego niemałe zyski, które powiększa jeszcze sprzedaż najrozmaitszych artykułów żywnościowych. Można dostać u nich wszystkiego, ale po takich cenach, że jeden obiad kosztowałby na nasze pieniądze kilkanaście złotych dla jednej osoby i to obiad skromniejszy od najskromniejszego w jakiejkolwiek restauracji całego świata. To też kto zatrzyma się u nich w gościnie przez kilka dni, wychodzi stamtąd o wiele lżejszy, nietylko na kieszeni, ale i na ciele.

A mimo to podróżnych tam nie brak, gdyż utrzymuje się mniemanie, że w tem miejscu Pan Bóg wręczył Mojżeszowi dziesięcioro przykazań Boskich. — Przekonanie to mnisi podnoszą na każdem miejscu, a nawet wskazują punkt, na którym miał róść ów krzak gorejący, w którym się Pan Bóg objawił Mojżeszowi.

Na obrazkach naszych widzimy mury owego klasztoru; na pierwszym Europejczyków pod murami klasztoru, wśród których jest rodak nasz, Antoni Stadnicki, na drugim mnichów prawosławnych przed bramą klasztoru, a na trzecim wreszcie ową sławną klatkę do wciągania przybyszów. Właśnie mnisi wciągają przez nią jakiegoś Europejczyka, prawdopodobnie za dobrą opłatą.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Chora w dalszym ciągu spała. Widząc, iż nie ma co robić w pokoju, zeszedł na dziedziniec dla zbadania, którędy mógł Brutanek wymknąć się niespostrzeżenie. Zamek był murami obwiedziony, w których znajdowały się tylko trzy wejścia. Jedno — główna brama i dwa mniejsze — boczne furtki. Po skrupulatnem dochodzeniu przekonał się, że jedną z furtek wychodzącą na pusztę służba używała do nocnych eskapad — i z tego bywała ona zazwyczaj niezamykana. Tędy zatem mógł ujść — doszedł do wniosku. Udał się następnie do żony. Zastał ją w łzach. Wiedziała już o zniknięciu lekarza Brutanka.

Na powitanie wyrzekła do męża:

— Stefku, co my powiemy Marcie, skoro się obudzi?

Widząc zgnębienie na jego twarzy — pozatem nie czyniła mu żadnych wymówek. Podzieliła się jedynie ze swoim osądem o Brutanku.

— Ja zawsze weń wierzyłam, stale odczuwałam do niego sympatję. Wtedy nawet, gdy zagniewany na was i mnie nie chciał widzieć. Pomyśl Stefku! — on zdrowie u nas zniszczył. Czy zauważyłeś, jak strasznie był zmieniony w ostatnich dniach? — zesiwiał zupełnie. I wtedyśmy go opuścili!...

Hrabianka zbudziła się koło południa. Pierwsze jej pytanie, jak hrabina przewidziała, tyczyło Stacha.

Obecni przy tem hrabiostwo niezmiernie się ucieszyli jej przytomnym stanem. Pytanie wprawiło ich jednak w kłopot. Hrabina spojrzała na męża, jakby mu chciała powiedzieć: „a nie mówiłam, że tak będzie?“, córce zaś wytłumaczyła, że pan Stach wyjechał.

— Ale za kilka dni powróci — pośpieszyła z uspokojeniem, widząc przestrach na jej twarzy.

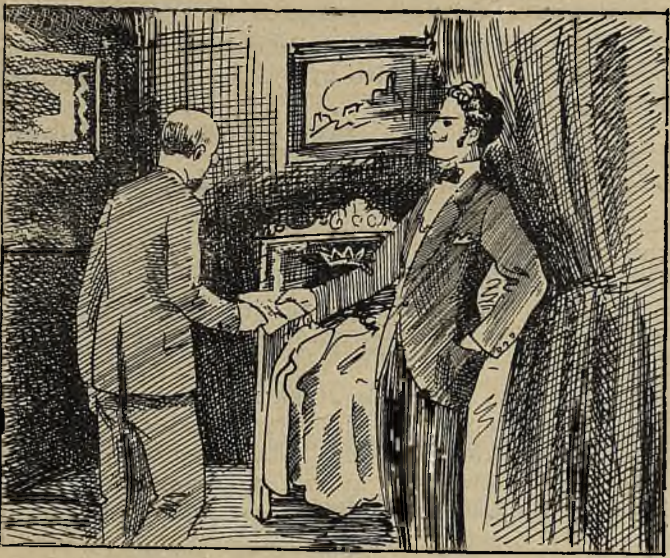
— Dlaczegóż to uczynił? — pytała dalej, nie zadawalając się odpowiedzią. — Dlaczegoście mu pozwolili? Przecież dopieroco widziałam go i rozmawiałam z nim — upierała się.

— Nie dopieroco — sprostowała jej twierdzenie hrabina. — Bardzo długo spałaś, musiałaś go widzieć kilkanaście godzin temu. Przez ten czas otrzymał telegraficzne wezwanie od swojego szefa z Paryża.

— Ale przed odjazdem przyrzekł, że będzie się starał rychło powrócić? Będę czekała... zgodziła się.

Czekała jednak beznadziejnie. Dni i tygodnie płynęły a Stach nie wracał. Początkowo była spokojną i ten spokój dodatnie wpływał na jej rekonwalescencję. Siły wprawdzie bardzo powoli, ale w każdym razie wracały. Kazała się przenieść z łóżkiem pod ol-

brzymie okno, odsłaniające widok na południową stronę. Całe dni patrzyła przez nie na wschodzące i gasnące słońce sierpniowe. Zdrowe ciepłe powietrze wracało jej siły tak, że po upływie siedmiu dni była w stanie usiąść w łóżku, a nawet czytać książkę.



Otrzymał telegraficzne wezwanie od swojego szefa.

W drugim tygodniu poczynała się niepokoić. Ciągle pytała o pana Stacha, a przynajmniej wiadomość od niego. Listu jednak nie było. Nie mogła sobie wprost wyobrazić, i nie umiała określić jego niedbalstwa. Kiedy ją usiłowano przekonać, że najwidoczniej stara się zapomnieć o zamku Radwanyi, zaprzeczyła stanowczo:

— Nieprawda — mamusiu — nieprawda! — On nie może zapomnieć.

Miała przecież dowody jego wielkiej miłości i na tem opierała swoje twierdzenie.

Matka próbowała zatem inaczej wytłumaczyć brak wiadomości i usprawiedliwić Brutanka.

— Zrozumże, Marto, — przemawiała. — Trzy dni musiał jechać do Paryża — chociażby nawet zaraz po przyjeździe napisał list, to i tak nie mógł on do nas przyjść.

Uspokoiła się znowu na trzy dni. Po tym czasie coraz rozpaczliwiej patrzyła na ręce wchodzącej matki — ale wieści od Stacha jak nie było, tak nie było.

— Matuś, — pytała — czyżby o nas zapomniał, jak to niedawno przypuszczałaś?

— Nie, dziecino — sprzeciwiła się tym razem, tuląc jej smutną główkę.

Wiedziała, że potwierdzając jej myśli, zasmuciłaby ją jeszcze bardziej. Wolała zatem próbować uspokajania.

— Nie mógł zapomnieć — powtarzała niemal te same słowa córki, które ona wyrzekła kilka dni temu. — Tylko widzisz — pocieszała, jak umiała — pan Stach w ostatnich, krytycznych dniach twej choroby był bardzo zmieniony i zbiedzony. Może, przyjechawszy na miejsce, zachorował i nie jest w stanie listu napisać.

— Ty coś więcej wiesz, powiedz — podejrzywała Marta.

— Nic nie wiem, dziecino, tylko przypuszczam.

I hrabianka robiła podobne, a nawet jeszcze inne przypuszczenie. Nie mogła sobie tego wytłumaczyć, dlaczego rodzice skoro tylko wspomniała o panu Stachu, patrząc na nią z radością, mięli równocześnie łzy w oczach. Nie mogła również pojąć smutku hrabiego w chwili, gdy natknął się na jakiś przedmiot pozostawiony przez Brutanka.

Głównie zaś nie mogła sobie wytłumaczyć, dlaczego jej Stach zniknął tak nagle. To były zagadki, nad rozwiązaniem których stale się męczyła. Wyjaśnieniu, że został telegraficznie wezwany, wierzyła i nie wierzyła.

I tak beznadziejnie dni płynęły. Spojrzenie jej z bolesną tęsknotą błądziło po rozległym widoku, który cieszył się i śmiał do słońca. Jedynie dla niej słońca nie było. Nieraz z radosnem złudzeniem się budziła, iż za chwilę zobaczy Stacha, wchodzącego do pokoju i z poważnym uśmiechem dążącego do niej.

Kończyło się jednak na złudzeniu. Wesoła w pierwszych dniach coraz bardziej poczynała posępnieć. Aczkolwiek zdrowie przychodziło, to przecież w coraz wolniejszem tempie.

— Matuś, — mówiła coraz rozpaczliwiej — czyżby o mnie zapomniał?

Matuś, która na wylot znała serduszko Marty — jej ogromne uczucie do Stacha — zawsze szukała pociechy i czasami zdołała ją znaleźć. Przychodziło to coraz trudniej.

Hrabia Radwanyi, po zniknięciu Brutanka, miejsca sobie znaleźć nie mógł. Na trzeci dzień napisał do niego list z głębokiem ubolewaniem i przeprosinami. Za kilka dni otrzymał go z powrotem z dopisskiem: „adresat nieobecny". Przekonany, że Brutanek zaciął się w gniewie i listu nie przyjął, pojechał samochodem do Myślenic. Mieszkanie jego znalazł zamknięte, a od stróżów otrzymał wyjaśnienie, iż od ostatniego pobytu w lipcu, nie widzieli go jeszcze.

— Zdaje nam się — przypominali sobie, — że przyjechał wtedy z panem.

Skinął głową. Stróżom zostawił adres do siebie, dał sowitą nagrodę i zobowiązał do natychmiastowego doniesienia, skoro tylko Brutanek powróci.

Zaniepokojony zachodził w głowę, gdzie mógł się znajdować.

Czekał znowu tydzień, ale żadnej wiadomości nie otrzymał.

Wybrał się do Myślenic poraz drugi. Usłyszał to samo wyjaśnienie. Lekarza Brutanka jeszcze nie było. Nie powrócił zaraz do Debreczyna, ale skierował się do Krakowa, gdzie w Banku Ziemiańskim złożył na rachunek Brutanka olbrzymie wynagrodzenie za leczenie córki. Chciał przynajmniej pod tym względem mieć czyste sumienie. Znając Brutanka, zastrzegł sobie w banku, by nietylko nie zdradzili nazwiska ofiarodawcy, ale wprost oświadczyli, że jest im nieznane. Obawiał się, iż lekarz Brutanek gotów pieniędzy nie przyjąć.

Ale wybieg ten na nic się nie przydał. Po sześciu tygodniach od daty zniknięcia Brutanka otrzymał zawiadomienie z banku, iż pieniądze złożone przez niego zostają mu z powrotem zwrócone. Następnego zaś dnia poczta przywiozła list z Myślenic, w którym stróżowie domu Brutanka donosili, iż pan nareszcie powrócił i zamieszkał w dawnem mieszkaniu.

Nie namyślał się długo. Na trzeci dzień pojechał do Myślenic. Zależało mu bowiem nietylko na zdrowiu, ale i życiu cudem uratowanej córki. Widział, iż coraz rozpaczliwiej pytała o Brutanka i coraz częściej znajdywano ją pogrążoną w łzach. To go głównie skłoniło do podróży.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Straszna noc.

(Humoreska).

„Brat spadł, komisja zjeżdża, przybywaj prędko. Henryk B.“

Siedziałem właśnie przy obiedzie w restauracji, kiedy przyniesiono mi powyższy telegram. „Cóż się stać mogło? Czy zabił się na miejscu?... Rzecz prosta, że trzeba mi było jechać natychmiast, ale jakaż niejasna wiadomość i cóż z tem miała wspólnego komisja? „Garson! proszę o rozkład jazdy!“ Dziwne też, że depeszuje mój kuzyn z sąsiedztwa, czyżby w domu wszyscy potracili głowy!... Ależ do djabła rozkład jazdy! — krzyknąłem, gdy nikt się nie zjawił. No, nareszcie! Z Gdańska do X. pociąg pospieszny nie ma komunikacji bezpośredniej, zatrzymuje się w D. o godzinie 11 wieczorem i trzeba czekać na następny do 6 godziny rano. Fatalna sprawa, a jednakże jechać muszę — w dodatku deszcz leje jak z cebra; już to zwykła moja przyjemność podróżować podczas ulewy... Garson, proszę o dorożkę!

Nareszcie dotarłem szczęśliwie do dworca i znalazłem się w przedziale drugiej klasy. Noc była ciemna i wicher połączony z ulewnym deszczem wstrząsał raz po raz oknami przedziału, zdawało się nawet chwilami, że cały wagon przewróci. Już było blisko północy, kiedy stanęliśmy w D... Tu zadepeszowałem przedewszystkiem do mego kuzyna, że jadę, następnie oglądałem się za jakim hotelem, aby wypocząć, choć parę godzin, ale prócz zawiadowcy stacji, któremu nie wolno opuszczać swego posterunku, żywa dusza się nie pokazywała, a noc była tak czarna, że chyba ciemności egipskie w porównaniu samą byłyby jasnością, na domiar nie widać na stacji, choćby najnędzniejszego wehikułu.

Że jednakże potrzeba jest matką przemysłu, to i ja w końcu mimo ciemności znalazłem drogę do oberży, stojącej po lewej stronie dworca. Świeciło się tam jeszcze i gwar niezwykły dochodził z otwartych okien; uciszyło się przecież natychmiast, gdy przestąpiłem próg ich gościnnej izby. Prócz gospodarza i gospodyni siedziała tam jeszcze gromadka gości, spoglądająca na mnie ciekawie, a jak mi się zdawało, podejrzliwie wielce.

Na zapytanie moje, czy jest pokój wolny, nie odpowiedziano mi zrazu, obecni podróżni spoglądali jeno na siebie z podełba, podczas kiedy gospodarz wraz z gospodynią cofnęli się w kąt izby na tajemniczą jakąś naradę.

To wszystko wielce było podejrzane.

Wreszcie gospodarz zbliżył się do mnie.

— Jak długo chce pan pozostać tutaj? — zapytał.

— Do jutra rano, — odparłem.

— Ha, ha, ha! — wybuchnęli głośnym śmiechem goście.

Gospodarz podszedł znowu do swojej połowicy, która przyglądała mnie się ciągle z ukosa, i po kilku jeszcze uwagach z jednej i drugiej strony przystąpił znów do mnie, oświadczając uroczyście:

— Pokój będzie na tę jedną noc.

Gospodyni tymczasem wysunęła się milczkiem.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się znów ktoś z obecnych.

— Ciekaw jestem, co tak rozśmiesza tego draba? pomyślałem i dla zabicia czasu zażądałem szklanki piwa.

Wtem nagle rozległ się na górnem piętrze hałas i trzask nieopisany, zdawało się, że cały dom się wali.

— A do djabła, cóż to jest? — zawołałem. — Toć umarli nawet by się tu pobudzili.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się szyderczo ów drab podejrzany. — Nie bardzo byłbyś kontent z tego, panie gospodarzu!

— Milcz głupcze! — zawołał tenże, lecz zdawało mi się, pobladł mocno.

Czemuż się obawiał nieboszczyków? — pomyślałem, — czyżby już niejednego na tamten świat wyprawił?... Najchętniej byłbym uciekł z tej ohydnej gospody, lecz co prawda, wstydziłem się sam przed sobą takiego tchórzostwa, było też już zresztą za późno, gdyż niebawem weszła gospodyni oznajmiając, że pokój gotowy.

Rudowłosa, zezowata służąca poświeciła mi na górę po schodach skrzypiących za każdem stąpnięciem, podczas kiedy za mną huczał wyuzdany śmiech obrzydliwych drabów, którzy zabawiali się jeszcze w oberży. Służąca prowadziła mnie potem przez długi, ciemny korytarz, zastawiony beczkami, wazkami i rupieciami wszelkiego rodzaju, aż wreszcie otworzyła niskie drzwi i wszedłem do owego gościnnego pokoju. Brrr! jakaż to była nora!... Proszę o świecę! — rzekłem, odbierając służącej lichtarz i zamknąłem za sobą, poczem chciałem posunąć zasówkę. Próżna nadzieja! zasuwki nie było wcale; otwieram drzwi, aby wyjąć klucz, który jak sądziłem, był na zewnątrz włożony, ale i klucza nie było!

— Człowieku, jakiż tchórz z ciebie! — perswadowałem sobie, kule świstały ci koło uszu podczas bitwy z wrogami, a tu lękasz się nie wiedzieć czego, niby nerwowa panienka!

Obejrzałem się dokoła ciekawie: ściany były puste, sprzęty stare i wypłowiałe, na podłodze jakieś czarne plamy, niby krew zaskrzepła. — Przestańże majaczyć! — rzekłem sam do siebie i zagasiwszy światło, położyłem się do łóżka.

Nie wiem, jak długo spałem, gdy naraz uczułem jakiś ciepły płyn, spływający mi na gardło. Na wpół jeszcze senny, chwytam się za szyję... Nieba, toż to krew!... Otwieram ciężkie powieki, nademną stoi pochylona postać jakaś z nożem w ręku, morderca, czy co!... Oniemiałem z przerażenia, ale dobywając resztek sił, siadam na łóżku, chwytam za kark złoczyńcę i krzyczę na całe gardło: „Ratunku! ratunku! morderca!...“

— Ratunku! ratunku!... — woła również tenże.

— Rzuć nóż, rozbójniku! — ryknąłem — rzuć w tej chwili, albo cię uduszę!

— Na pomoc, ludzie, na pomoc! — krzyczy z całych sił ów zbrodniarz, rzucając nóż i chroniąc się w kąt izby. Podniosłem nóż, była to mocno wyostrzona brzytwa.

— Powiadaj teraz, łotrze! — rzekłem, zbliżając się z brzytwą do niego. Dlaczego chciałeś mnie zamordować?

— Ach zlituj się pan, przebacz mi, mam żonę i dzieci!

— Cóż mi do tego, mów zaraz, po co tu przyszedłeś?

— Ach panie, ja, ja...

— Gadaj gałganie, przyszedłeś mnie zagałuszyć!...

— Ach, nie zagałuszyć, tylko ogolić pana chciałem.

— Co? ogolić?

— Tak jest, ogolić, w tym bowiem pokoju mieszka asystent kolejowy, który wychodzi na służbę bardzo wcześnie, przychodzę więc golić go, kiedy jeszcze jest w łóżku. Nie wiedziałem wcale, że go tu dziś niema i myślałem, że to on śpi jeszcze, a spieszno mi było. Spojrzyj no pan w lustro, wszakże namydliłem już brodę...

Miał słuszność, nie była to krew, lecz poprostu mydliny spływały mi z twarzy.

Nagle otworzono drzwi na rozcież i gospodarz uzbrojony w widły wpadł przestraszony do izby, a za nim kilku jeszcze domowników z kijami, miotłami, co kto naprędce pochwycił.

Rzecz cała wyjaśniła się wkrótce i gospodarz potwierdził słowa golibrody. — Pan asystent wyjechał na dni kilka, — kończył swe opowiadanie, więc uradziliśmy z żoną, że może pan bezpiecznie zanocować tu dzisiaj, zapomnieliśmy przecież uwiadomić o tem pana cyrulika.

— Cóż się tu dzieje? — ozwał się teraz głos dobrze mi znany i kuzyn mój Henryk ukazał się na progu poza skonfundowaną służbą oberży.

— Skąd się tu wziąłeś tak rano, Józefie?

— Pędzę na złamanie karku, odebrawszy wczoraj twą depeszę.

— Ależ zmiłuj się, nic to tak nagłego.

— Jakże? Toć piszesz, że brat zabił się...

— Jaki brat? co ty pleciesz?

— Wszakże wyraźnie czytałem: „Brat spadł, komisja zjeżdża, przybywaj zaraz".

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Henryk. — Pomyłka druku. Nie brat, tylko grad spadł i komisja dla oszacowania straty zjedzie, ale nie pospieszą się pewno tak bardzo. Czy nie odebrałeś mego listu?

— Ma się rozumieć, że nie. Przebyłem dziś noc fatalną, ale mniejsza o to, skoro tylko w domu wszyscy zdrowi.

I ukończywszy spiesznie tualetę, wróciłem następnym pociągiem wraz z kuzynem moim do domu.

Poradnik gospodarczy.

Ochrona zwierząt przed muchami.

Ze wszystkich skrzydlatych owadów najczęściej dokuczają zwierzętom domowym muchy jedne, domowe, swem szybkiem bieganiem po ciele, drugie, ślepce, przekłuwając żądłem skórę i wysysając krew. Ile krowy od nich cierpią, szczególnie gdy w dnie parne przez cały dzień nie mają od nich pokoju, łatwo poznać po znacznym często ubytku mleka. Więcej jeszcze wystoją konie, gdy powietrze wilgotne albo deszcz grozi, a muchy całemi rojami przez drzwi i okna wlatują do stajni. Kopią nogami, i trą się po ścianach, bo inaczej się obronić nie umieją, przyczem łatwo mogą się okaleczyć. Nie mając pokoju, nie mogą też odpocząć od trudów pracy, i chudną mimo dobrej karmy.

Kto chce swe bydło od tej plagi uwolnić, niech zamknąwszy drzwi i okna rozpyli w stajni znaczną ilość proszku na owady, i wyjdzie, bo proszek drażni organy oddechu. Po kilku minutach znajdzie muchy nieruchome, albo jakby pijane na ziemi. Należy się je zmieść i spalić, gdyż inaczej po kilku godzinach powracają do przytomności. Gdy rano albo podczas deszczu całemi rojami na ścianach siedzą, można proszek wprost na nie rozpylać, a ten sam osiągnie się skutek. W tym wypadku zaleca się do 120 gramów proszku domieszać 2 gramy sproszkowanej siarki, a tę mieszaninę aparatem, jaki sprzedawają do proszku zwanego „Zacherlin" wystrzykać na ściany. Aparat ten można też zastąpić zwykłym pęcherzem, w którego otwór wsadzi się gęsie pióro. I na to zważać trzeba, aby proszek był świeży, gdyż wywietrzany nie wywiera skutku.

Zważywszy dobry skutek, nie należy żałować wydatku na proszek. Lecz ktoby chciał tańszego używać środka, niech na oknach i gdzie tylko może postawi niewielkie czerepy, napełnione wapnem chlorkowanem, albo niech powiesi u powału niewielkie pęki bylicy. Muchy prawdopodobnie zapachem zwabione, wieczorem rojami obsiadają te pęki. Wtedy podstaw jaki worek i nagle urżnij nić, na której pęk wisi, aby wpadł do worka, a wyłowisz nieomal wszystkie muchy. Bylica rośnie na łąkach, gdzie jej sam możesz nazbierać, albo możesz jej kupić w aptece.

Przedewszystkiem jednakowoż trzeba stajnię utrzymywać w czystości, przepowietrzać i wymiatać ją codziennie, i usuwać wszystko, co muchom za pokarm służy. Aby stajnia była ciemną, należy otwory okien zaciągnąć rzadką a ciemną materją (płótnem, workiem i t. p.). Wielkiemi wrogami much są jaskółki, przeto im nie przeszkadzaj, gdy się w stajni gnieżdżą. Aby nie zanieczyściły karmy, można pod gniazdem przybić deszczułkę, a zresztą uczy doświadczenie, że gdzie takie deszczułki w stajni przybite, tam jaskółki nad niemi gniazda zakładają.

Jeszcze bardziej niż w stajni, dokuczają bydłu najróżnorodniejsze owady na paszy. Najlepiej je ochroni, kto je całkiem albo przynajmniej części najwięcej od much zagrożone, co kilka dni obmyje odwarem octu i liści z włoskiego orzecha, albo kwasem karbolowym i oliwą makową, mieszając jedną część kwasu karbolowego na 8 części oliwy. Gdy się na pastwisku znajdzie poczwarki ślepców w wielkich gniazdach, tedy należy te gniazda z trawnikiem wyryć i podeptać. Przez to można w znacznej części zapobiec dokuczaniu bydła przez owady.

Szkodę może też wyrządzić bąk, latający w godzinach południowych przez miesiące od czerwca do września a składający swe jaja na sierści paszącego się bydła. Z jaj wyłażące poczwarki przekłuwają skórę, uczepiają się jej i tworzą w skórze gruczoły wielkości gołębiego jaja. Dopiero, gdy dojrzeją, a więc w maju albo w czerwcu przyszłego roku, wyłażą i spadają na ziemię. Jeżeli które bydło takich gruczołów ma bardzo wiele, to wydaje mniej mleka i opada z mięsa. Jedynem skutecznym środkiem na to jest ustawiczne a staranne czyszczenie bydła, tem skuteczniejszym, że pod wszelkim względem przynosi gospodarzowi korzyści. Wszystkie zalecane maści, szczególnie dla bydła, są drogie i bezskuteczne. Praktyczne znaczenie i doniosłość ma żądanie, aby wszyscy właściciele bydła w okolicy, gdzie plaga bąków jest powszechna, a do tych i nasza okolica należy, trzody swoje dopiero po 10 godzinie rano na paszę wyganiali. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że dojrzałe poczwarki rano z gruczołów wyłażą, a jeżeli się to stanie w stajni, to bydło je na ziemi zdepcze, albo od wilgoci giną.

Szkodliwym pasożytem jest także mólik (kleszczyk) znachodzący się w kurnikach, radziej w gołębnikach, a który, gdy się sposobność nadarzy, przechodzi na bydło domowe, przekłuwa skórę, ssie krew

i wywołuje silne świerzbienie, tak że się bydło ustawicznie trze. Mólika znaleźć jest trudno, bo rankiem opuszcza bydło a wraca do kurnika lub gołębnika. Wynika stąd, że kurniki i gołębniki w stajniach albo obok stajni zbudowane trzeba usunąć, bo nie należy cierpieć, aby się drób choćby tylko chwilowo w stajni zatrzymywał. W kurnikach i gołębnikach można tego szkodnika wygubić, jeżeli się je wykadzi siarką wygnawszy wprzód kury i gołębie i pozamykawszy szczelnie wszystkie otwory, a ściany, podłogi i powałę wymyje ostrym ługiem. Niektórzy twierdzą, że te szkodniki można znaleźć i w gniazdach jaskółczych. Jeżeli to prawda, i jeżeli nie co innego, tylko one są powodem świerzbu u koni, tedyby nie było innej rady, ale musianoby jaskółki ze stajni wygnać, wyrzucając ich gniazda.

KRONIKA.

Bohaterska śmierć ucznia. Korzystając z pięknej pogody kąpało się kilku studentów w Popradzie koło Starego Sącza Nagle jeden z nich, uczeń 7 klasy gimnazjalnej ze Stryja, Schor, natrafił na głębię i począł tonąć. Widząc to kolega jego, Henryk Zięba, uczeń 8 klasy gimnazjalnej w Nowym Sączu, syn kierownika szkoły w Starym Sączu, bez chwili namysłu rzucił się tonącemu na pomoc. Widocznie jednak tonący, broniąc się przed śmiercią, zbyt kurczowo chwycił się Zięby, gdyż po chwili obaj zniknęli pod wodą i więcej nie wypłynęli. Zięba zginął, jak bohater, ratując życie koledze.

Samobójstwo kasjera. W Dębicy otruł się niejaki Marjan Gotart, kasjer w majątku hr. Raczyńskich. Samobójca liczył około 30 lat. Powodem jego tragicznego czynu były podobno kłopoty materjalne.

Zatruty całus. Pocałunki, jak wiadomo, są trucizną. Inna rzecz, że dla wielu jest to trucizna bardzo przyjemna i niejeden trułby się z rozkoszą przez całe życie. A jednak całus może być również przyczyną śmierci. Od pocałunków zmarła w szpitalu dziecięcym we Lwowie 4-letnia córeczka pp. Pików. Dziewczynka była bardzo ładna, toteż sąsiedzi pieścili ją i całowali. Jeden z takich całusów był zatruty. Chory człowiek złożył pocałunek na wargach dziecka, na których ukazał się później wrzód. Dziecko dostało wysypki i po kilku dniach zmarło.

Sukces policji lwowskiej. Do Lwowa przybyła żona przemysłowca z Borysławia, a bratowa ambasadora polskiego w Paryżu, pani Zofja Chłapowska. Kiedy wstąpiła do jednego z sklepów jubilerskich, złodziej skradł jej z samochodu walizę, zawierającą biżuterję, garderobę, 4 tysiące złotych gotówką, łącznej wartości 35 tysięcy złotych, oraz dwie książeczki oszczędnościowe P.K.O. w Krakowie na sumę 70 tysięcy złotych. Pani Chłapowska zawiadomiła natychmiast policję o kradzieży, a ta po kilku godzinach była już na tropie sprawców. Wieczorem zostali już aresztowani i to w chwili, gdy się dzielili łupem. Są to znani złodzieje Adrzej Tomasik i Władysław Perski. Wszystkie rzeczy im odebrano z wyjątkiem książeczek, które spalili. I takby nic na nie nie byli otrzymali, gdyż kasa była zaraz uprzedzona o kradzieży. Jest to prawdziwy sukces policji, który zasługuje na pełne uznanie.

Ofiara miłości. Pomiędzy 22-letnim Mikołajem Sawczakiem z Horyni w powiecie stryjskim a dorodną dziewoją z tejże wsi Marcią Senyszyn nawiązał się stosunek miłosny, który nie pozostał bez następstw. Dopóki dziecko żyło, Marcia z konieczności kochała Mikołaja, a nawet zgadzała się zostać jego żoną. Gdy jednak wspólny ich potomek umarł, a bogaty i 20 lat starszy od Marci Iwan Humenny począł się starać o rękę dziewczyny, ta zmieniła swe dotychczasowe uczucia i pokochała szalenie jego morgi i bydełko. Nie mógł tego przeboleć Mikołaj, więc kijem chciał jej wbić miłość w serce. Pobił ją kilkakrotnie, a gdy i to nie skutkowało, zagroził jej zabiciem. Jak przyrzekł, tak i zrobił, zaczaił się z rewolwerem w ręku i czekał na dziewczynę, a gdy nadeszła, strzelił do niej, trafiając ją w bok. Broczące krwią, padła na ziemię. W ciężkim stanie zabrano ją do szpitala, zaś Sawczaka aresztowała policja. Jak to niedobrze igrać z miłością.

Potworny bratobójca. O rękę bogatej i urodnej dziewczyny z sąsiedniej wsi starali się dwaj bracia Wojciechowscy, Władysław i Filip, ze wsi Rękoraj w powiecie piotrkowskim. Więcej szczęścia miał jednak Władysław, to też Filip postanowił za wszelką cenę usunąć rywala. W tajemniczy sposób napadł na brata, gdy ten spał w oborze, zmasakrował mu głowę oraz połamał ręce i nogi, poczem podpalił oborę. Początkowo myślano, że pożar powstał przypadkowo i że przypadkowo zginął w nim Władysław, śledztwo jednak wykryło, że obydwóch zbrodni sprawcą był okrutny brat. Aresztowano go i osadzono w więzieniu w Piotrkowie.

Rozpacz bocianicy. Jeden z studentów, powracających z przechadzki, zobaczył na łąkach około wsi Bogwidzowy koło Radomska parę bocianów. Nie namyślając się długo, a mając przy sobie karabin, jako członek hufca przysposobienia wojskowego, wycelował, wystrzelił i ranił ciężko jednego bociana. Był to samiec, jak się później przekonano. Małżonka jego, widząc straszną śmierć swego ukochanego, wpadła w rozpacz i w przystępie bolesnego szału pofrunęła do gniazda, w którem spoczywało czworo jej dziatek i dwoje wyrzuciła na ziemię. Wieśniacy wnieśli z powrotem pisklęta do gniazda, lecz uporczywa bocianica wyrzuciła je poraz drugi. Tragedja bocianiej rodziny wywarła wstrząsające wrażenie na świadkach tej smutnej sceny, a łzy litości i współczucia towarzyszyły biednej matce bocianicy, która po stracie małżonka skazała na zagładę dwoje swoich piskląt, aby resztę wychować w sile i zdrowiu.

Samobójstwo ziemianina. W jednym z hoteli w Częstochowie popełnił samobójstwo 61-letni obywatel ziemski z powiatu łowickiego, Józef Wolicki. W południe Wolicki udał się do klasztoru na Jasną Górę, poczem wstąpił do zakładu pogrzebowego, gdzie oświadczył właścicielowi, iż chce obstalować trumnę dla tragicznie zmarłego przed kilku godzinami Wolickiego. Po zapłaceniu należytości i podaniu adresu Wolicki powrócił do hotelu, gdzie wystrzałem z rewolweru w usta pozbawił się życia. Ze znalezionych przy samobójcy zapisków wynika, iż Wolicki popełnił samobójstwo z powodu nieporozumień z rodziną. przed odebraniem sobie życia popłacił on wszystkie długi w sumie kilku tysięcy złotych.

Młodociany zabójca. Pomiędzy Marją Minkowską a Zofją Szymańską w Łodzi powstała kłótnia, która wkrótce przemieniła się w bójkę. Na pomoc matce pospieszył 13 letni syn Minkowskiej, Stanisław. Chłopak chwycił siekierę i uderzył nią Szymańską w głowę, zadając jej ciężką ranę. Odwieziono ją w stanie beznadziejnym do szpitala.

Orszak ślubny na rowerach. W kościele Matki Boskiej Różańcowej w Warszawie odbył się ślub panny Jadwigi Kucharczykówny z Józefem Morskim. Państwo młodzi, jak również wszyscy goście weselni przybyli do kościoła na rowerach. Po ślubie każde z nich udało się do swej pracy zarobkowej, a goście weselni do domów.

Tryumf ciemnoty. Na przedmieściu Szczęśliwice pod Warszawą wydarzył się wypadek, który wskazuje na potęgę ciemnoty, która panuje jeszcze na przedmieściach stolicy. Kąpiący konie w Gliniance 22-letni Edward Musiał wpadł do wody i utonął. Pospieszono mu natychmiast z pomocą i zdołano go wydobyć z wody. Ponieważ dawał on jeszcze oznaki życia, poczęto stosować sztuczne oddechanie. Utopiony byłby z całą pewnością odratowany. Ale nadszedł jakiś znachor, który poradził ratującym, że nie należy stosować sztucznego oddechania, lecz wsadzić z powrotem topielca do wody głową na dół. Ciemny lud usłuchał głupiego znachora. Wsadzono więc nieszczęśliwca do wody, przytrzymując go tam kilkanaście minut, a gdy go wreszcie wyciągnięto, ten już naprawdę nie żył. Znachor-cudotwórca już znikł tymczasem.

Ku czci zabitego złodzieja. W Łowiczu przyszło do zaburzeń z powodu zabicia złodzieja kolejowego. Kiedy pociąg towarowy przejeżdżał przez Łowicz, banda opryszków napadła na pociąg i poczęła wyrzucać towary. Obsługa pociągu poczęła ostrzeliwać ów wagon. Po pewnym czasie znaleziono na torze kolejowym trupa mężczyzny. Jak się okazało, był to złodziej kolejowy, K. Tomczyk. Gdy do towarzyszy Tomczyka doszła wieść o jego tragicznej śmierci, przed gmachem starostwa zebrał się tłum ludzi, liczący do 1.000 osób, który zażądał wydania policjanta, który zastrzelił złodzieja, przed sąd społeczeństwa, urządzenia pogrzebu na koszt państwa, nieprzeprowadzania sekcji zwłok i wypłacenia rodzinie zabitego kilku tysięcy złotych. Oczywiście takich bezczelnych żądań nie spełniono. Wówczas tłum udał się pod szpital, aby porwać zwłoki, przeszkodził jednak temu oddział policji. Tłum, rozsierdzony na policję, podążył na posterunek, gdzie usiłował wtargnąć do środka, zniszczyć dokumenty, oraz wypuścić aresztantów. Choć było blisko tysiąc wielbicieli złodzieja, jeden policjant przez czas dłuższy bronił im dostępu do posterunku; ranny w rękę i twarz powstrzymywał karabinem napór tłumu. Tymczasem nadciągnęła policja z Kutna, Sochaczewa i Skierniewic, ale i tłum wzrósł do 2.000 osób. Oblężenie posterunku trwało do 9 wieczór. Rozpędzeni awanturnicy zebrali się jednak powtórnie o 11 w nocy przed szpitalem, gdzie rozdali ulotki, wzywające do niedopusyczenia do pogrzebu. Ale i tu policja tłum rozpędziła. Zabitego pochowano o 3 rano. Gdy pogrzeb przechodził przez ulice miasta, rodzina zabitego przez cały czas wrzeszczała, sądząc, że w ten sposób wywoła zbiegowisko, ale widocznie czciciele złodzieja ostygli w swej miłości ku niemu, gdyż nikt się nie zjawił. Za udział w awanturach aresztowano 18 osób.

Tragiczny koniec uwodziciela. 28 letni Oskar Hauke, mieszkaniec wsi Srebrna pod Koninem starał się o rękę 22-letniej Anny Schmidt. Młodzi spotykali się, chodzili ze sobą, co nie pozostało bez przykrych następstw. Gdy to zauważył Hauke, skierował swe zapały miłosne do innej dziewczyny, nie myśląc nawet o Schmidtównie. Kiedy nieszczęśliwa dziewczyna urodziła dziecko, brat jej zwrócił się jeszcze raz do Haukego, aby ten poślubił uwiedzioną. Hauke jednak odmówił stanowczo. Wówczas brat nieszczęśliwej pochwycił widły i przebił nimi uwodziciela. Zabójcę aresztowano.

Oryginalna zemsta. Karol Wilczyk ze wsi Kościerze Doły w powiecie łaskim był zaręczony z Jadwigą Rusińczykówną i kochał ją bardzo. Ale dziewczyna nie chciała wyjść za biednego chłopaka, gdyż trafił się jej znacznie zamożniejszy, Franciszek Gawron. Zerwała więc z Wilczykiem i stanęła u ołtarza z Gawronem. Kiedy młodzi Gawronowie powrócili do domu z kościoła, znaleźli w swej sypialni wiszącego bez życia Wilczyka. Można sobie wyobrazić uczucia, jakie przejęły młodą parę na ten niespodziewany widok. Biedny chłopak! Dziewczyna, która wyrzekła się miłości dla majątku, nie zasługiwała na takie poświęcenie dla niej młodego życia.

Cudowny lekarz. W Witkowicach na Śląsku Cieszyńskim po stronie czeskiej osiedlił się pewien emigrant rosyjski, który nadał sobie tytuł lekarza. Rozgłosił on, że wynalazł cudowną maść, którą leczy wszystkie dolegliwości. Dodawał przytem, że w mieście mógłby na leczeniu chorych zrobić olbrzymi majątek, ale że chce służyć ludowi, więc przybył na wieś. I biedni chorzy wierzyli mu, zgłaszając się do niego tłumnie po ową cudowną maść, płacąc za nią wysokie kwoty. Cudowny lekarz chwalił sobie swą przedsiębiorczość oraz głupotę ludu czeskiego. Gdy przybył jednak w okolice polskie koło Jabłonkowa, wzbudził podejrzenie swym dziwnym językiem. Zawiadomiono żandarmerję, a ta wykryła, że pan lekarz nie był żadnym cudownym lekarzem, ale cudownym oszustem, który na głupocie ludzkiej zarobił kilka tysięcy koron czeskich.

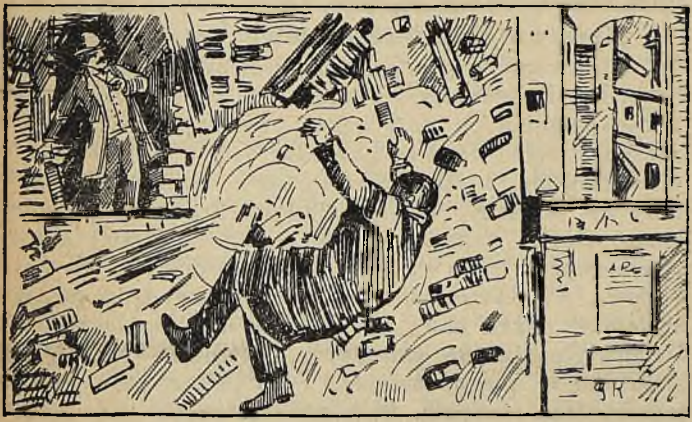
Krwawa aleja czereśniowa. Aleję czereśniową pod Rucewem w powiecie inowrocławskim dzierżawią Szepler z Bydgoszczy i Pomager ze Złotnik Kujawskich. Z niewyjaśnionych dotychczas przyczyn dzierżawcy ci zaczęli strzelać do przechodniów, jeden z fuzji nabojami śrutowemi, a drugi z rewolweru. Wynik tej strzelaniny był straszny, bowiem 23 letni Franciszek Łuczak został ciężko ranny w piersi i nogi nabojami z fuzji i rewolweru, Parja Pawińska z Inowrocławia w piersi i głowę, a jednoroczna córeczka jej otrzymała postrzał śrutem w nóżki, który spowodował ich bezwład. Nadto Helena Wesołowska z Rucewa otrzymała kontuzję postrzałową w piersi, brzuch i ręce. Kilka osób zostało jeszcze lżej rannych. Stan wymienionych jest bardzo groźny. Według zeznań dzierżawców powodem strzelaniny było zrywanie owoców przez przechodniów, czemu jednak ranni stanowczo przeczą. Sprawą zajęła się policja, która zapewne ją wyjaśni i ohydnych sprawców masowej rzezi odda sądom do surowego ukarania.

Ucieczka trędowatych. Z zakładu chorych na trąd w Rumunji uciekło 25 trędowatych, którzy wtargnęli do miasteczka Isacea. Mieszkańców ogarnęła panika; chowano się przed nimi i zamykano drzwi. Biedacy, obdarci, ze strzępami ciała na kościach, błagali o pożywienie. Podawano im je, stawiając naczynia na progach domów. Policja przedsięwzięła obławę i wyłowiła wszystkich chorych, odstawiając ich z powrotem do zakładu. Powodem ucieczki był brak żywności w szpitalu. Lekarz wyjechał do Bukaresztu celem wystarania się pomocy dla szpitala, ale gdy dłuższy czas nie wracał, zapasy wyczerpały się zupełnie, co zmusiło chorych do masowej ucieczki.

Zaburzenia i mordy w Rosji. W Rosji niewesoło było dotychczas, ale teraz zaczyna być jeszcze smutniej. W Jarosławiu i Kostromie w Rosji środkowej doszło do jawnych zaburzeń przeciw rządowi. Robotnicy wystąpili z powodu niewypłacenia im zarobków i zmniejszenia racyj żywności do jednej trzeciej części dotychczas wydawanych. W Kostromie doszło do wielkich demonstracyj przeciw rządowi. Robotnicy przeciągali ulicami, chcąc dostać się do magazynów zbożowych. Wojsko dało salwę do tłumu, na co odpowiedziano kamieniami. W czasie walki kilkunastu robotników zostało zabitych, kilkudziesięciu rannych. Po rozpędzeniu tłumu wojsko bez sądu rozstrzelało na miejscu trzech przewódców, oraz zaaresztowało 20, których taki sam los spotka. W Płoskirowie przeprowadzono rewizje w szkołach, aresztując 20 uczniów. Z tych trzech rozstrzelano bez sądu, zaś resztę oddano władzom sądowym.

Sowiecka krowa. Jak wiadomo, w Rosji większość gospodarstw chłopskich przeszła na własność rządu. Wszystko, co posiadał chłop, stało się własnością państwa, a chłop jest wyrobnikiem, a do tego wyrobnikiem bezpłatnym, bo za swą pracę otrzymuje tylko nieco strawy. Nic mu własnego mieć nie wolno. Ale oto ukazało się rozporządzenie krwawego Stalina, że każdy chłop będzie mógł otrzymać z powrotem swą jedną krowę. Po wsiach zapanowała radość; będzie można dać przynajmniej czasem dzieciom mleka. Ten i ów udał się do urzędu po przyobiecaną krowę i otrzymał ją w rzeczywistości, ale tak wychudzona, że się ledwie trzymała na nogach. Gdy pielęgnowaną przez chłopa krowa trochę się podpasła, odebrano mu ją, a nietylko to, ale i chłopa aresztowano, gdyż zaszkodził państwu, odbierając mu raz już zabraną mu krowę.

Śmierć przy pracy. Podczas budowy kamienic, mimo środków ostrożności, często zdarzają się katastrofy, pociągające za sobą ciężkie kalectwo lub śmierć robotników.



Niedawno temu przy budującej się w Wiedniu 4 piętrowej kamienicy, pracujący przy schodach na najwyższem piętrze rzemieślnik poniósł straszną śmierć. Klatka schodowa nagle runęła w dół i biedaka pogrzebała pod stosami desek i spoideł żelaznych. Rycina nasza przedstawia tę straszna chwilę.

Plaga szarańczy na Sardynji. Na wyspie Sardynji ukazały się wielkie masy szarańczy. Władze rozpoczęły energiczną walkę przeciw tej pladze, która zagraża rolnictwu. Szarańczy jest taka masa, że na linji kolejowej Terranuova Oristone pociągi z wielkim trudem posuwają się naprzód po szynach, gdyż koła ślizgają się po żelazie, pokrytem szarańczą.

Ofiara zakochanego ogrodnika. Giovani Grogno, wyszedłszy z więzienia, postanowił uczciwą pracą zmazać dawne przewiny. Udał się tedy do proboszcza z prośbą o znalezienie mu pracy. Będąc ogrodnikiem, dostał się niebawem do cichego klasztoru żeńskiego w San Cavanese pod Turynem, gdzie spokojnie przepracował 4 lata. Na jego nieszczęście była tam zakonnica przecudnej urody 38 letnia Angelika, Nieszczęśliwy ogrodnik tak się w niej rozmiłował, że nie mógł sobie miejsca znaleźć. Początkowo tłumił swe uczucia, ale miłość niewypowiedziana nie daje zadowolenia. Z czasem począł więc narzucać się Angelice na każdym kroku. Zakonnica tłomaczyła mu, iż w niewłaściwym kierunku skierował swe uczucia, gdyż ona poświęciła się Bogu, więc o ziemskiej miłości myśleć nie może. W głębi serca żałowała młodzieńca, więc też nie zawiadomiła o tem przełożonej. Ale ta sama spostrzegła niewczesne zapały ogrodnika, wskutek czego wymówiła mu pracę. Tego było młodzieńcowi już za dużo. W dniu, w którym miał opuścić klasztor, czatował od rana na siostrę Angelikę a gdy ta przechodziła koło drwalni, rzucił się na nią, raniąc ją ciężko młotem, poczem sam odebrał sobie życie. Ofiara zakochanego ogrodnika, jakkolwiek ranna ciężko, wskutek starań lekarzy zostanie prawdopodobnie uratowana.

Cyganie między sobą. Pewna cyganka nazwiskiem Marja Colombia zaskarżyła do sądu w Paryżu swojego kolegę po fachu, cygana Mikołaja, że jej ukradł córkę Scolę. Jednakże cygan Mikołaj oświadczył w sądzie, że to nieprawda, gdyż nie ukradł dziewczynki, ale kupił ją całkiem legalnie za 1.000 franków dla swojego 10 letniego syna za żonę. Scola liczy 8 lat. „U nas, cyganów, oświadczył Mikołaj, tego rodzaju historje są na porządku dziennym. Gdy ja miałem lat 12, ojciec mój kupił mi dziewczynę, która nazywała się Róża, a która w trzy lata potem została moją żoną. Bardzo się dziwię, że ta zwarjowana babą robi awantury przed sądem. Zapłaciłem jej 1.000 franków, co jest bardzo wiele. Mój ojciec zapłacił za dawnych dobrych czasów za moją obecną żonę zaledwie 500 franków. Znam cyganów, którzy sprzedają dziewczęta i za 200 franków". Wobec tych zeznań sędzia oddalił skarżącą, a cyganowi przyznał kupioną dziewczynkę.

Raj dla urzędników. Narzekamy, iż u nas w Polsce jest zadużo urzędników i narzekamy słusznie, bo w niektórych urzędach jest ich dwa razy tyle, ile być powinno. Weźmy n. p. takie kuratorja szkolne. Jest tam po kilkunastu wizytatorów, którzy są chyba po to, aby mogli się przejechać po Polsce na koszt państwa i napsuć trochę krwi biednym nauczycielom. Bo jeżeli nauczyciel nie chce uczyć, to stwierdzić to może inspektor szkolny, który jest bliżej i częściej może wizytować szkołę. Inspektor zna nauczycieli i wie, co który wart, podczas gdy wizytator, wpadłszy na godzinę czy dwie do szkoły po upływie kilku lat, tak nic nie wie, jak i przedtem nie wiedział. Albo w takich magistratach większych miast: urzędników jak mrowia, ale kiedy ktoś chce jakąś sprawę załatwić, to musi czekać godzinami, bo pan urzędnik nie ma czasu, albowiem... pije herbatę. I to jeszcze nic, boć na to jest herbata, aby ją pić, ale pomimo takiej wielkiej liczby urzędników biedny podatnik nieraz musi i trzy razy płacić jeden i ten sam podatek i to po latach kilku (!!), jeżeli nieszczęśliwiec kwit zgubi. A gdy go po zapłaceniu w jakiś cudowny sposób odszuka, to może czekać i sto lat i miljon razy o zwrot nieprawnie pobranej kwoty się upominać, nie otrzyma jej, bo rekursu nie ma kto załatwić. Jeszcze gorzej pod tym względem jest w Ameryce. Tam na 120 miljonów mieszkańców jest 10 miljonów urzędników, z których wielu nie wie nawet, jaki ma zakres urzędowania, jedno tylko wiedzą, że mają pobrać na pierwszego swe pensje. A nie można ich zredukować, bo każdy z nich ma jakiegoś wysokiego protektora. Jest to więc prawdziwy raj dla urzędników. U nas przynajmniej większość ciężko i może za ciężko pracuje, a niewielka garstka jest zbyteczna, natomiast w Ameryce jest ich o kilka miljonów za dużo.

380 miljonów panien. Aż tyle niezamężnych kobiet tuła się po świecie, nie mogąc w żaden sposób znaleźć męża. Przez pewien czas zdawało się, że ta olbrzymia liczba stopnieje do mniejszych rozmiarów, gdyż nietylko poczęło się rodzić więcej chłopaków na świecie, aniżeli dziewcząt, ale i kawalerzy zawierali chętniej małżeństwa. I tak w samej Anglji przed 30 laty na 10.000 kobiet było 4.000 niezamężnych, a obecnie jest ich już „tylko" 3.680, w Danji stosunek ten spadł z 2.970 na 2.600. Ogółem na całym świecie jest 380 miljonów kobiet niezamężnych. Z tego na Anglję przypada 6 miljonów, na Francję 8 miljonów, a liczba ta niedługo znacznie się powiększy, gdyż obecnie znów znacznie więcej rodzi się dziewcząt, aniżeli chłopców.

RZECZY CIEKAWE.

Kraby i polipy.

Niejeden z Czytelników przypuszcza może, iż dno morskie jest podobne do jakiejś piaszczystej ławicy, na której nic nie rośnie. A tymczasem tak nie jest. Nie wyrastają tam wprawdzie takie rośliny, jak na powierzchni ziemi, ani nawet takie, jak w naszych stawach i nizinnych rzekach, ale przecież i dno morskie nie jest całkiem dziką puszczą. W wielu miejscach na dnie morskiem żyją całe gromady zwierzątek, należących do typu jamochłonów, a przedewszystkiem tak zwane polipy. Taki polip, spadłszy przy-



padkowo na dno morskie, wydziela ze siebie szkielet wapnisty, w którym jest w środku otwór. Z każdą niemal minutą polip posuwa się ku górze, a szkielet ów zostaje pod nim. Polip dzieli się na dwa oddzielne zwierzątka, z których każde pozostawia po sobie taki szkielet, tworząc tym sposobem rozgałęzienia. Tak rozdzielone zwierzątka znów się dzielą na dwa i tak dalej tak, że z czasem powstaje olbrzymi krzak rozgałęziony nadzwyczaj bujnie, bo każde żyjątko tworzy nową odnogę. Zwierzątka te posuwają się w górę i w boki, a wskutek tego krzak ten potężnieje, tworząc z czasem wielkie wyspy, kiedy woda w morzu nieco się obniży. Na wyspy te miatr przynosi i pył ziemny, pokrywa je, zasiewa rośliny, a wskutek tego powstają na morzu wyspy. Ponieważ najwięcej takich wysp tworzy koral, więc wyspy te nazywają się koralowemi.

Nad powierzchnią morza jest wyspa, na której nawet ludzie mieszkać mogą, a pod wodą ma ona podstawę, która jest szkieletem miljardów koralowców. Podstawa ta jest bujnie rozgałęziona, a pomiędzy temi rozgałęzieniami żyją znów setki tysięcy krabów morskich. Kraby są to dziesięcionogie raki morskie, mające ciało płaskie i szerokie, kałdun krótki, zwyczajnie pod tułogłowie podwinięty. Posiada pięć par nóg chodowych, z których tylko jedna para posiada nożyce. Są one drapieżcami. Czasami wychodzą na ląd stały, szczególniej dla składania jajek, odbywając wtedy dosyć dalekie wędrówki. Na obrazku naszym widzimy taki labirynt, utworzony przez morskie polipy, w którym gnieżdżą się olbrzymie ilości krabów morskich.

Jak długo żyją konie?

W jednem z pism angielskich pojawiła się niedawno notatka, z której wynika, że wbrew utartym przekonaniom, koń może żyć bardzo długo. Już Arystoteles mówił w swych dziełach o koniach, z których jeden żył lat 40, drugi 70 lat.

Niejednokrotnie notowano wypadki, że koń żył do lat 30, a nawet 40. Znakomity znawca życia zwierząt, Samson, spotkał konia, który miał lat 62.

Notatka co do wieku konia w piśmie angielskiem dotyczyła „Old Billy“, który pracował na roli i dożył 62 lat. Pracował ciężko do lat 50, poczem dopiero dostał się na „łaskawy chleb“ do jednego z dyrektorów towarzystwa żeglugi, którego ziemię uprawiał. Wynika z tego, że konie nietylko mogą żyć bardzo długo, lecz nawet długo ciężko pracować. Najwidoczniej ich długowieczność zależna jest od tego, w jaki sposób ludzie z niemi się obchodzą.

W każdym razie konie w Polsce żyją znacznie krócej. W swoim czasie w stajni sławuckiej, znanej ze wspaniałej stadniny arabskiej, pokazywano jako osobliwość konia, który dożył lat 25. Skądinąd wiadomo, że we Włodzimierzu Wołyńskim, w tamtejszej szkole podchorążych rezerwy artylerji znajduje się koń „Imperator“, który ma lat 22 i bierze stale nagrody w urządzanych przez szkołę konkursach hippicznych.

Przed wynalezieniem mydła.

Do nowoczesnego sposobu czyszczenia tkanin, doszła ludzkość w miarę rozwoju chemji. Dawniej dzisiejszych sposobów prania prawie nie znano, więc sprawa odświeżania odzieży nie była tak łatwą jak dzisiaj.

Wiemy z Homera, że Greczynki prały odzież czystą wodą dopomagając sobie nogami, by tkaninę dokładnie zmiękczyć i usunąć z niej brud. Balje wówczas nie były jeszcze znane, więc ta żmudna praca odbywała się w dołach napełnianych wodą ze strumyka.

Z biegiem czasu Grecy przekonali się o użyteczności ługu, sporządzonego z popiołu i posługiwali się nim zarówno do prania odzieży, jak i czyszczenia posągów bożków i beczek do wina. Potażu Grecy nie znali, wzmacniali jednak ług domieszką wapna. — W okolicach zaś posiadających ziemię iłowatą używano tej właśnie ziemi do sporządzania ługu.

Nie wielu jednak wie, że najstarszym i najtańszym środkiem używanym w starożytności do prania tkanin był mocz ludzki i zwierzęcy. Rozkładający się mocz dzięki tworzącym się w nim związkom alkalicznym nadaje się wybornie do prania. W starożytnym Rzymie używano też powszechnie właśnie tego środka do prania tog.

Rolę praczek spełniali w Rzymie mężczyźni, zwani fullonami. Przenikliwy odór, przepełniający zawodowe pralnie i ich sąsiedztwo wskutek nagromadzenia wielkich ilości moczu sprawił, że fullonami gardzono i przepędzano ich za miasto. Do zawodu tego garnęli się tylko najbiedniejsi z biednych, a chociaż zawód ten był pogardzany, dawał jednak niezły zarobek.

Rzymianie nie znali koszul, a togę swoją wkładali wprost na ciało. Te przepocone togi musiały być często prane. Przynajmniej bogaci Rzymianie dbali o czystość odzieży, bo biedacy tylko na większe uroczystości czyścili swoją odzież kredą.

Fullonowie mieli więc przednią klijentelę, a całym ich kłopotem było wystaranie się dostateczną ilość moczu. Dopomagali oni sobie w ten sposób, że na ulicach rozstawiali naczynia i sami zachęcali przechodniów, by korzystali ze sposobności zaspokojenia naturalnej potrzeby Cesarz Wespazjan opodatkował nawet fullonów. Nie jest jednak rzeczą wiadomą w jaki sposób ten podatek wymierzano i ściągano. W każdym razie podatek z tego źródła płynący zasilał wydatnie kasy cesarskie i był pobierany jeszcze za czasów Anastazjusza, który opodatkował także mocz zwierzęcy.

Mocz jako środek służący do prania utrzymywał się jeszcze do wieku XVII, a nawet XVIII-go. Ludwik XIV widocznie pilnie wczytywał się w historję cesarza Wespazjana, gdyż w roku 1695 wprowadził podobny podatek pod nazwą „la capitation".

W Anglji jeszcze w roku 1750 służba domowa sprzedawała przekupniom na miarę mocz pod nazwą „old lant".

Nie jest rzeczą wyjaśnioną, który z ludów wynalazł mydło. Plinius wymienia Gallów jako tych, którzy najwcześniej posługiwali się mydłem. Coprawda dodaje, że Germanowie mieli lepsze, lecz o wiele droższe mydło.

Pierwotnie mydło służyło wyłącznie do mycia ciała i jako lekarstwo. Mydło w formie maści z domieszką barwników roślinnych używane było niegdyś do włosów. W szczególności Rzym starożytny, w którym zapanowała moda farbowania włosów na płowe czyli germańskie, fabrykował rozliczne mydła barwne. Plinius wymienia łóg i popiół jako główne składniki mydła używanego w Rzymie. Do fabrykacji wytworniejszych mydeł używano tłuszczu koziego. Potem zastąpiono ług olejem.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Serafiński** w H.: Matki u pszczół najlepiej teraz zmieniać. Niech się Pan zwróci w tej sprawie do p. Juljana Piwowarskiego w Miechowie (Sad i pasieka), a przyśle Panu stosownie do życzenia. Posiada on pszczoły kaukaskie, złote amerykańskie, włoskie, palestyńskie, cypryjskie i inne. Zeszłego roku przywiozłem od niego matkę kaukaską i amerykańską obydwie okazały się znakomite. — **Michał Kempys** w B.: Artykuł otrzymaliśmy, dziękujemy. — **L. Kruszewski** w W.: I nam nie wiadomo, czy ta komisja jeszcze istnieje. Najlepiej zwrócić się pod jej adresem we Lwowie jeżeli istnieje, odpowie, jeżeli nie, poczta kartkę zwróci. — **Stanisław Jucha** w K.: Artykulik o płanetnikach zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. — **Stanisława Potkańska** w J.: Za słowa uznania Maciek serdecznie dziękuje. Jest on człowiekiem, więc i u niego raz humor lepszy, a raz gorszy. Gdy się Kaśka z nim obchodzi po ludzku, to i on jest weselszy, ale gdy mu baba doskwira, to go wciurności biorą i humor go odlatuje. A Pani wie, co to kobiety potrafią! W postępowaniu z mężczyznami trzeba przyznać jednak pierwszeństwo niewiastom wiejskim. Wieśniaczka, jeżeli czuje co do swojego męża, czy narzeczonego, to go skuniruje, aż się mu ciepło na sumieniu zrobi i potem wszystko dobrze, a paniusia miastowa będzie go gnębiła półsłówkami, niedopowiedzeniami, nieraz tygodnie i miesiące całe. Dlatego podobno mężczyźni w miastach prędzej łysieją od chłopów na wsi. — **Jan Stokłosa** w K.: Narzeka Pan na biedę na wsi nie mniejsza ona i w miastach, z tą tylko różnicą, że na wsi wszyscy cierpią biedę, a po miastach cierpi ją wprawdzie wielu, ale i wielu jest takich, którzy całemi godzinami siedzą po restauracjach, wydając dużo pieniędzy. A aby je wydawać, muszą je przecież mieć, a jeżeli je mają, to z pewnością sami ich nie zapracowali, ale uczynili to dla nich robotnicy, którzy sami przymierają głodem.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Jan Liwosz z S. .

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Żyjątko mikroskop
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dawna moneta polska.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Owoc krajowy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Chinach.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Sekciarz.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Gwałtowna burza.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Przyrząd fizyk.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dywan wełniany.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Taniec.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Choroba.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Asceta hinduski

Litery w miejscach kwadracików dadzą rozwiązanie.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Antoni Poloczek z P.)

Pierwszy nuci piękne trele,
A zaś w drugim dziurek wiele,
Cały zdawna w sztuce słynie,
Sława jego nie zaginie.

II.

(Ułożył Jan Liwosz z S).

Pierwsza druga szerokie ma zastosowanie,
Gdy życzone kształty chcesz mieć mospanie,
Druga trzecia czwarta to leśna jagoda,
Słodka, ze zbieraniem tylko niewygoda,
Trzecia czwarta w fabrykach stale używana,
Ze stali lub przędzy bywa sporządzana,
Druga trzecia tyczy się tych tylko ludzi,
Których wzrost zwykle obawy nie budzi.
Całość to płyn; płynu tego gazy,
Zabójcze są dla bakteryj wszelkiej zarazy.

III.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś).

Wstecz druga rzeka północna, graniczna,
Pierwsze druga to znowu szata liturgiczna,
Drugą trzecią czwartą znajdziesz na grzędzie
A czwarta i trzecia imię męskie będzie.
Całość to państwo, na półwyspie leży,
Sąsiad na niego zęby sobie szczerzy.

3. Układanki literackie.

(Ułożył Antoni Poloczek z P.).

1. Samogłoska + zaimek + przyrząd sportowy =
2. Rzeka w Europie + spółgłoska =
3 Litera grecka + dwie jednakowe spółgłoski + zaimek + nart =

5. Kwadrat magiczny.

(Ułożył A. Galer z K.).



Samochód.
Piękno inaczej.
Szata rzymska.
Jedyny w swoim rodzaju

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 22 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 27 „Roli": 1. Logogryf: Ignacy Mościcki. 2. Łamigłówka: Wyrazy: Panika-kajak-mirt. Przysłowie: Jaki pan, taki kram. 3. Szarady: I. Kanapa. II. Gramatyka. 4. Zagadka: Kos-sok. 5. Kwadrat magiczny: Wita-Ikar-talk-arka.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Teofil Burman z K., Feliks Popielarczyk z S., Ks. Stanisław Niezgoda z U., Michalina Uznańska z O., Jan Stec z G., Karol Stypa z Ł., Michał Kozik z L., Jan Sałaciński z T., Kazia Tyrkalska z O., Stanisława Szymoniak z P., Hermina Grzybkówna z K.

Nagrody otrzymają pp.: Karol Stypa z Ł. i Hermina Grzybkówna z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 12 lipca b. r.

Pszenica	26·00—26·25	Słoma długa	8·50—9·00
Żyto	24·00—24·50	Ziemniaki stoł.	4·50—5·00
Owies . .	21·00—22·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	21·50—22·00		
Fasola biała	24·00—26·00	Mąka żytnia	39·25—39·50
Groch zwyk.	26·00—28·00	Mąka pszen.	45·00—45·50
Siano słodk.	13·00—15·00	Otręby pszen.	11·50—12·00
Łubin żółty	18·00—18·50	Otręby żytnie	12·00—12·50
Koniczpastew.	15·00—17·00	Mąka czerw.	14·50—15·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 12 lipca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·40 do 1·50

Ma śpiewać na złość.

W pewnym domu kończy się przyjęcie. Jest już północ, ale gospodyni zatrzymuje gości i prosi jednego z panów, mającego piękny głos, aby jeszcze coś zaśpiewał. Ten wzbrania się.

— Już jest bardzo późno, może to będzie niemiłe sąsiadom?

— Właśnie, niech pan śpiewa na złość. Ich pies także szczeka od szóstej rano i nie da nam spać.

Wskazówki lekarza.

Lekarz, postawiwszy na nogi pacjenta, udziela mu ostatnich wskazówek.

— Teraz, kiedy pan zna stan swego zdrowia, — niech się pan strzeże wina, kobiet i śpiewu.

Po jakimś czasie pacjent, spotkawszy przypadkowo lekarza i zapytany przez niego, czy przestrzega rad, odpowiada:

— Owszem, panie doktorze, śpiewać to już zupełnie przestałem.

Nowa sztuka.

Do pewnego dyrektora teatru, znanego z dowcipu, przychodzi autor, który po długiem naleganiu otrzymuje pozwolenie odczytania swej nowej sztuki. Dyrektor słucha jakiś czas, nagle wstaje i otwiera okno, mimo panującego na dworze mrozu.

— Pan wybaczy, — mówi, — ale jestem przyzwyczajony spać nawet w zimie przy otwartych oknach.

Mowa sejmowa.

Jeden z posłów prosił literata znajomego, by mu napisał przemówienie, któreby mógł wygłosić na najbliższej sesji.

Czytajcie wszyscy!

Najświeższe książki, które sprzedaje i wysyła

Księgarnia „Wiedza i Sztuka"

KRAKÓW, ul. Gołębia 10/R.

Wysyłka po otrzymaniu pieniędzy z góry. Przy kupnie do 5 zł. załączyć także na koszta wysyłki 60 gr., przy kupnie ponad 5 zł na koszta wysyłki załączyć 1 zł 30 gr. gotówką lub w znaczkach pocztowych.

HAKENSCHMIDT. „Siła", jak zostać silnym i zdrowym, z 40 rycinami, Zł. 2.—.

ILUSTROWANY SENNIK Egipsko-Chaldejsko-Asyryjski, Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK. Astrologja Kabalistyczna. Zł. 2.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: Hypnotyzm. „Siła nasza wewnątrz nas". Sugestja. Telepatja. Zdrowie. Miłość. Bogactwo. Zadowolenie moralne, wielki podręcznik prakt. Zł. 8.—.

FOREL AUGUST: Zagadnienia Seksualne. 2 tomy. Zł. 5.—.

GRALEWSKI ST.: 500 zagadek i tyleż rozwiązań. Zł. 1.50.

SZYLLER-SZKOLNIK: Tajemnice Powodzenia: jak żyć i postępować w życiu. Cena Zł. 1.—.

WEININGER OTTO: Tajemnice Kobiet i Mężczyzn. Zł. 1.

PRAWDZIWY OGNISTY SMOK, władza nad duchami. Zł.3.

WOTOWSKI ST.: Tajemnica Życia i Śmierci. Zł. 1.50.

WOTOWSKI ST.: Życie i Miłostki imperatorowej Katarzyny II. i jej wielcy kochankowie. Zł. 1.50.

HROMUSA DR.: Zielnik lekarski. Opis ziół leczniczych z podaniem ich uprawy i zastosowania z tablicami kolorowymi, drzeworytami i ilustracjami. Zł. 8.—.

STAROSTA WESELNY. Przemówienia, Oracje, Toasty, Zwyczaje, cena 1 zł. — **Pieśni Weselne** 90 gr. — **Śpiewnik Miłosny** 60 gr. — **Mazury i wyrwasy,** śpiewki pasterskie 60 gr. — **Starodawne Śpiewki Wiejskie** 60 gr. **Piosenki, Kujawiaki i Obertasy** 60 gr. — **100 Pieśni i Piosenek** rzemieślniczych dla różnych stanów 80 gr. **Śpiewki przy tańcu** na zabawie i w towarzystwie 60 gr. **„Krakowiaki",** piosenki wesołe dowcipne. 60 gr. — **Wesoły Drużba,** pieśni weselne zwyczaje wiejskie, 1 zł. —

NOWOŚĆ! 1) PROF. EMIL WYROBEK: „Choroby Weneryczne", ich skutki, znaczenie w życiu jednostki i społeczeństwa, tudzież sposoby leczenia i zapobiegania, wydanie IV-te przerobione i powiększone z 22 rycinami, rok 1930, str. 200, cena zł. 6.—.

2) Choroby Nerwowo i Umysłowe. Paraliż postępowy, wiąd rdzenia, melancholja, psychozy manjakalno-depresyjne, spaczenie umysłu z urojeniami, rozpad myśli, idjotyzm i głupota moralna. Onanizm. Neurastenja. Histerja i epilepsja. Str. 162 ilustr., cena zł. 4.—.

3) Alkoholizm i Prostytucja, obłęd opilczy, upojenie patologiczne, dispomanja, alkoholizm wrodzony, nerastenja i samobójstwo. Morfinizm i kokainizm. Kult rozpusty. Reglementacja i abolicjonizm. Str. 225 ilustrowane. Zł. 4.—.

ATKINSON W. W.: Kształcenie pamięci. Nauka o obserwacji pamięci i wywoływania wspomnień, cena zł. 2.50.

DR. J. D.: Potęga Suggestji. Wykład o mocy i woli ludzkiej — z ilustracjami — cena zł. 3.—.

Dr. Böttchner Ł.: Stoliki Wirujące. Praktyczne wskazówki prowadzenia seansów czyli posiedzeń spirystycznych z stolikiem wirującym, ilustrowane — cena 3 zł.

DR. J. D.: Potęga Hypnotyzmu. Praktyczny przewodnik do wykonywania doświadczeń w dziedzinie suggestji i hypnotyzmu oraz zastosowanie ich w życiu codziennym, z ilustracjami — cena 3 zł.

WIEDERMANN B.: „Yoga". Tajemna Wiedza Indji — zł. 3.

WIELKI ARABSKO-EGIPSKI SENNIK, z wieloma ilustracjami, według dawnych źródeł wiedzy tajemnej, z uwzględnieniem najnowszych odkryć w tej dziedzinie, opracował F. Mirandola, ostatnie wydanie, zł. 5.—.

PROSALUS DR.: Życie Płciowe. Przewodnik dla nieświadomych Małżonków, cena zł. 2.—.

ROŚCISZEWSKI: Tajemnicze Siły w Miłości. Poradnik dla Pań i Panów, zł. 1.80.

JAK WINSZOWAĆ? — wielki zbiór powinszowań imieninowych, noworocznych i okolicznościowych — 3 zł.

NAJNOWSZY FLIRT SALONOWY czyli tajemna rozmowa kwiatów z 44 kartami — 50 gr., i po 1.20 zł.

TANGEY KUNT PROF. DR.: Zboczenia płciowe — 80 gr.

MICIŃSKI Dr. med.: Nerwowość, histerja, neurastenja i hipochondrja — zł. 1.50.

DR. KAZIM. RADWAN-PRAGŁOWSKI. Spotęgowanie woli i energji. 4 tomiki Zł. 1.20.

DR. CZ. PENDO: „Poradnik dla młodych mężatek. Małżeństwo, ciąża, płodność, poród. Sekretne sposoby małżeńskie, pielęgnowanie niemowląt". Zł. 1.60.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Mnemonika". Sztuka wyrobienia doskonałej pamięci. Usuwanie roztargnienia, wzmacnianie zdolności umysłowych. Zł. 2.—.

DR. MISIEWICZ: „Samogwałt u mężczyzn i kobiet". Jego skutki i środki wyleczenia. Zł. 2.—.

KRUMŁOWSKIEGO: Sto tysięcy żartów, dowcipów i monologów — 50 gr.

DR. MED. E. JOZAN: „Życie płciowe kobiety". Znaczenie stosunków płciowych. Ciąża. Rozwój płodu. Poród. Cenne rady i wskazówki. Zł. 1.50.

DR. QUEYRAT: „Miłość i małżeństwo". Uwodziciele. Shańbione dziewczęta. Handel żywym towarem. Związki nieślubne. Dzieci z nieprawego łoża. Sutenerstwo. Prostytucja. Policja obyczajowa. Zł. 1.50.

DR A. KORAB KORABIEWICZ: „Choroby weneryczne". Uleczalność syfilisu i innych chorób. Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Zwycięstwo w miłości"! — Jak zdobyć miłość ukochanej osoby. Czary, amulety i talizmany. Zł. 2.—.

ST. A. WOTOWSKI: „Wielka księga cudów i tajemnic" „Czarna i Biała Magja". Tajemne praktyki, zaklęcia i recepty, z wielu ilustracjami. Zł. 4.—.

T. KUTZ: „Doświadczenia spirytystyczne — stoliki wirujące". Jak urządzać seanse spirytystyczne. — Zjawiska, eksperymenty i doświadczenia. Słownik terminów okultystycznych. Zł. 2.—.

PR. SZMURŁO: „Ze świata tajemnic".— Spirytyzm, Okultyzm. Metapsychika. Komunikaty zaświatowe. Ewokacje zmarłych. Telepatja. Lecznictwo medjalne. Magnetyzm. Zdolności. Powodzenie w miłości. Leczenie wszelkich nałogów. Jasnowidzenie. Zł. 3.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: Poznaj Siebie. Praktyczny podręcznik Chiromancji (linje rąk), fizjognomika (rysy twarzy), astrologja (nauka wpływu gwiazd na losy), z ilustr. Zł. 3.—

SZYLLER-SZKOLNIK: „Spotęgowanie woli". Jak zostać silnym i wyzwolonym człowiekiem. Zł. 1.50.

SZYLLER-SZKOLNIK. Z kim się ożenić. Jak poznać przyszłą żonę? Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK. Za kogo wyjść zamąż? Zł. 1.—.

KAZIMIERZA MAJERANOWSKIEGO Nowe sztuki teatralne — mianowicie:

OBYWATELKA Z KROWODRZY — wodewil ze śpiewami, kupletami i tańcami w czterech aktach, z muzyką Józefa Maleczka, z ilustr.

MUCHY KLEPARSKIE — wodewil ze śpiewami, kupletami, tańcami i weselem krakowskim — w cztarech aktach, z muzyką prof. Michała Świerzyńskiego.

„ZMORY", sztuka ludowa w 4 aktach, ze śpiewami, kupletami i muzyką Emskiego.

GDZIE DJABEŁ NIE MOŻE, czyli **NASZE SŁUGI** — wodewil ze śpiewami, kupletami i tańcami, osnuty na tle życia kolejarzy, w 5 aktach, z muzyką St. Ekiera. Powyższe wszystkie sztuki, śpiewy i kuplety są zaopatrzone nutami na jeden głos z podkładem słów i kompletną muzyką na fortepian. — Cena po 4 zł. za egzempl.

K. KRUMŁOWSKI: Białe fartuszki, wodewil w 4 aktach z tańcami, muzyka St. Ekiera 2 zł. **„Królowa Przedmieścia",** wodewil w 5 aktach z tańcami i muzyką. 2 zł. **„Śluby rybackie",** wodewil w 4 aktach, muzyka Z. Górzyńskiego 2 zł. **Przewodnik tatrzański,** wodewil w 4 aktach, muzyka J. Tesarzika 2 zł. **Zbiór komedyjek** (sześć) razem 80 gr. **NOWOŚĆ! „Wolne Miasto",** sztuka historyczno-ludowa w 7 obrazach z ilustracjami, (Wypędzenie Austrjaków z Krakowa) piękne wydanie, str. 190 — zł. 6.—. **Bosa Królewna (Dziewczyna w Perkaliku),** wodewil w 4 aktach ze śpiewami, kupletami i tańcami; z ilustracjami, muzyka Ekierta zł. 5.—.

KABAŁA SERCA, Wróżby z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, Zł. 1.50.

SCHREIBER M. Przewodnik Stolarski, wiadomości zwyczajnego i zbytkownego materjału i technologji mechanicznej z 146 ilustracjami. Barwienie, Zdobnictwo, pięknie oprawne, Zł. 7.—.

ORLEANS: W szponach nałogu, spowiedź onanisty. Zł. 1.

WIELKI ZBIÓR POWINSZOWAŃ do wszystkich okoliczności zastosowanych. 1 Zł.

MIŁOCIŃSKI SZCZĘSNY. Wielki zbiór toastów, nadający się do wygłaszania mów na wszelkich uroczystościach, t. j. chrzcinach, weselach, zabawach i obchodach patrjotycznych. Zł. 2.—.

LILJE, OSTY I STOKRÓTKI, piękne wierszyki do pamiętników i do listów. 0.80 gr.

ZBIÓR NAJPIĘKNIEJSZYCH LISTÓW MIŁOSNYCH i okolicznościowych, Zł. 1.20 i po 60 gr.

KLEINERMAN: Urzędowy poradnik ludowy, wzory podań, odwołań i skarg w sprawach sądowych, podatkowych, wojskowych i t. p. — 1 zł.

CEGIEL: Hodowla królików 40 gr.

MAJEWSKI: Tresura psa pokojowego — 3 zł. 60 gr.

KRAWCZYŃSKI Inżynier: Łowiectwo, przewodnik dla leśników zawodowych i amatorów myśliwych ze 140 ilustracjami, wielka księga zł. 10.

FR. KEHREN Dr med.: „W cztery oczy" szkoła małżeńskiej miłości 19 kolorowych iczarnych rycin — zł. 7.